

VI

1919

MARZEC

ZESZYT 6



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZĘGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wolności 17. :: :: ::

ZASTĘPSTWO REDAKCJI: Jan Śliwiński, Warszawa, ulica Flory 9.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE: Wende i Sp., Warszawa, Krakowskie Przedmieście.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 72 marek, **półroczna** — 36 marek, **kwartalna** — 18 marek.

Zeszyt pojedynczy 4 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględni wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu nieczy się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wolności 17

Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank bieltowy w Polsce
- Dr. St. Pernaczyński — O emigracji na ziemiach
- Dr. Z. Karpiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
- Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galię — Drogi zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychództwo westfalsko-nadrenskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marjan Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarswa narodowego
- Stanisław Marciniak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ka. Poznańskiem

Cena mk. 10.—



„BIBLIOTEKA ZDROJU”.

Cena tomu 2 mk.

RZECZY PIĘKNE

miesięcznik poświęcony architekturze, rzeźbie, malarstwu, ochronie zabytków, kościelnictwu i rzemiosłu.

Kraków, ulica Smoleńska 1. 9.



ROK 3

MARZEC 1919

TOM VI

ZESZYT 6

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 36.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WOLNOŚCI 17.

TREŚĆ: Na marginesie Zdroju — Jerzy Hulewicz. Z „Rozmowy o wiedzy ostatecznej — Juliusz Słowacki. Wybór poezji — Oskar Miłosz (spolszczyła Br. Ostrowska). Z Golgoty serca i ducha — Asbein. Pacta peetica — Zofja Wojnarowska. Samo-uzdrowienie (Z Neu-buddhistische Zeitschrift spolszczyła W. H.). Literatura rusa — Franciszek Rawita-Gawroński. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyty oryg. — J. J. Wroniecki, Jerzy Hulewicz

NA MARGINESIE ZDROJU

JERZY HULEWICZ

(C. D.)

„Nie wierz zgola na słowo samo; nie wierz tradycji, dlatego, że stara jest i że poprzez wiele generacji do dnia naszego dotrwała; nie wierz zgola wieściom, ani dlatego, iż o czymś mówi się powszechnie; nie wierz na tej tylko podstawie, że przedłożono ci pisane świadectwo któregośkolwiek z starych mędrców; nie wierz nigdy dlatego, że prawdopodobieństwo za czymś przemawia, albo, że długoletnie nawyknienie cię zwodzi, iżbyś przyjął za prawdę; nie wierz zgola samemu autorytetowi nauczycieli i duchownych.

*Natomiast, co na podstawie własnego doświadczenia i badania zgadza się z rozumem twoim i służy twojemu dobru i zbawieniu, jako też ku dobru i zbawieniu wszystkich innych istot żyjących — to oto przyjm jako Prawdę i żyj według niej”.
(Anguttara Nikayo.)*

Tak oto nauczał Buddha syna Kesa'a z Kalamo.

Wszelako mniema dzisiejszy przyuczonych formuł czciciel, iż to nie służy dobru i zbawieniu pytanie o własnej wiary źródła i zgola wiary własnej szukanie.

Wieluż to wśród nas jest podobnych synowi Kesa'a z Kalamo? Wieluż to zasię takich, którzy oną podstawową wiary naukę w jej prostocie i jasności pojąć i przyswoić sobie zdołają?

Wszystko, przed czym przestrzega w powyższem zdaniu Mistrz Wschodu, wszystko to na przeszkodzie stoi dzisiejszemu Europejczykowi, iżby za prawdę przyjął to, co omylnością być nie może. A więc: słowo jako takie, tradycja, wieść, opinia powszechna, pisane mędrca świadectwo, prawdopodobieństwo, wreszcie

zwyczaje — oto skomplikowanemu życiu europejczyka narzucone pęta, z których ni wyzwoić się, ni w których ducha pielęgnować może.

Tknąć zasię jedną z tych życia wewnętrznego domniemanych podstaw, znaczy: dopuścić się świętokradztwa.

Spółeczność nasza wszystka według jednakiej przykrojona miary, społeczność, której jednostki opierają swych dusz nieśmiertelność na śmiertelności paragrafów kodeksu, staje w takiej sprzeczności z wyżej podaną Nauką Buddy, że nawet nie spostrzega, iż jej prażródło, jej niewzruszoność i jej boskość Nauką Syna Bożego — Jezusa Chrystusa potwierdzona jest całkowicie :

„Nie jest wiarą wierzyć w coś cudownego, ale rozumieć swój stan i to, że w nim jest zbawienie“. (Św. Łukasz, XVII, 6.)

Z stanowiska wszelakich znanych nam religii (choć odwołujemy się jeno do Prawd Nauki Chrystusa w rozpatrywaniu podstawowego Nauki Buddy orzeczenia) czujemy się całkowicie rozgrzeszeni, dotykając śmiało podstaw naszego życia. W przekonaniu zasię tym utwierdza nas Św. Paweł w Liście I. do Tessałończyków: „Ducha nie gaście — a wszystkiego doświadczajcie; a co dobre jest dzierzćcie“.

Ducha nie gaście! Z zamierzchłych wieków bije w nas potężne wołanie Apostoła. Głos jego uderza w twardą materji bryłę naszego pokolenia, które na przelomie wieków oto stoi, osiągnąwszy szczytu dobrodziejstw zwycięstwa i jego pierwiastków w człowieku; szczyt dobrodziejstw silnych materją a doskonałych zmysłem. To też już dalej w tym kierunku człowiek pójść nie może, iż to lepszą swą częstkę gdzieś zapodział i zawrócić musi, iżby ją odnalazł.

Jeżeli was gniecie ogrom zdobyczy doczesnych a duch ujarzmiony w materji samowładztwie, wbrew waszej woli i świadomości nowego domaga się życia, nawróćcie w pogrzebane mędrców skarbnice, z objawień wieków zamierzchłych czerpcie nowego prawa żywotność, z grobów wiecznie żywych dobywajcie życia nowego załączki.

Tradycja!

Kogoż to u nas nawoływać trzeba do hołdowania tradycji? Kto z nas tradycją nie żyje aż do przesytu? Kto nie karmi się jeno tradycji sokami, skoro własnych nie wytwarza? Jakożby ostać się nam bez tradycji? jakożby porozumieć się bez jej świętości? Tradycja wszystkim się stała, albowiem bez niej zgoła niczego by nie było! Nicby się nie działo w duszy przeciętnego europejczyka, gdyż sam niczego nie stwarza, a — co stwarza bliżni, tradycją nie uświęcony, to z nieufnością przyjmuje, albo — gdy rzecz nowa całkowicie nie kryje się tradycją — zgoła ją odrzuca.

A jednak tradycja jest zbawienna, jeżeli niczem nie jest uświęcona, jeno wewnętrznem przeżyciem człowieka, który z niej czerpie zasoby ku stwarzaniu nowego życia.

„... Wszystkiego doświadczajcie; co dobre jest — dzierzćcie!“ Uświęcając tradycję, uświęcamy przekazane nam przez ojców dobro i zło zarówno. Tradycja, jako że jest przeszłości uświęceniem, niczem jest i żadną wartością życiu wewnę-

trznemu. Nie uświęcenie, ale wewnętrzne przeżycie minionego świata karmą może być szukającemu duchowi i jego łącznikiem z przysлонioną przyszłością.

Tradycji tedy niechaj duch żaden posłuchu nie daje, jako współczesnemu światu nie bije pokłonów, iż to przeszłość nie jest doskonalsza od dnia naszego. Wszelako nawyknięcia od dziecięcia w nas szczepione, iżbyśmy — dziećmi — posłuszni byli ojcom, ludźmi zasię będąc, przykazaniu przeszłości poddali samowiedzę naszą. Tak, w korbach utrzymany duch do wolności nie tęskni, że to w zamknięciu zrodzon, wolności nigdy nie zaznał.

Na fundamencie po wielokroć poświęconej tradycji zbudowano gmach „praw boskich i ludzkich“, synagogę, w którą wkleszczono gwałtem ujarzmionego ducha, iżby poprzez prawo widział Boga takim, jakiego przekazały nam przesady średniowiecza pod obuchem świętej inkwizycji, a człowieka, jakiego potrzebują moi światła tego na dzień dzisiejszy.

Tradycja rozgrzesza błąd wszelki i wszystek grzech. — Wszelako idąc za głosem Apostoła, a doświadczając tradycji, ufając Buddy ostrzeżeniu i badając pilnie tradycji źródła i owoce, aby na samo słowo nie uwierzyć, ani dlatego, że przez wiele generacji do dnia naszego dotrwała — słowem: przeżywając wewnętrznie tradycję, znajdujemy ciągle jeden wielki łańcuch życiowych praw, które nieznacznie odmieniając się przez wieki, jednym są wielkiem prawdy przyciemnieniem albo chęcią prawdy przyciemnienia. Spisane przez uczniów Mistrza słowa — przecież już nie dosłowne, przeto w boskości swej uszczuplone, ale Mistrzowi i jego Nauczce bardzo bliskie, wzbronione dla dzisiejszego człowieka, iżby nie doszedł łatwo prawdy, której sprzeczne jest istniejące prawo „boskie i ludzkie“, prawo, zrodzone z nieprzeżywaney, a uświęconey (ciągle przez wieki do praw chwili naginanej) tradycji.

Przeżywać w sobie tradycję znaczy szukać duchowej łączności z Źródłem i Celem ostatecznym, znaczy poznawać duszy wędrówkę z Doskonałości pocztą i ku Doskonałości wiecznej zmierzającą, wędrówkę duszy, która wyszła z Boga iżby znów w Bogu się stopiła.

Kto więc o tradycję opiera poszukiwania swoje, ten ducha przeszłości przeżywać winien iżby poznał, że niemaż przeszłości ducha, jako że duch nie mieści się w czasie, zatem i tradycji, która jest czasu wytworem, mieć nie może. A jeśli już ułomność ludzka potrzebuje uszczeblenia rozwoju i podziału nauki w tym ogromie prawdy, który go przeraża, niechaj tedy w ogromie wieków upatruje tradycję, nie zaś, jak to czynić zwykliśmy, w małym czasie odcinku, co zaledwie generację dwie, trzy lub cztery ogarnąć zdoła.

Nie bądźmy parwenjuszami ducha, których tradycja nie starszą jest nad dziesiątki pokoleń; ale ogarnijmy wszystkie ducha rodowody, sięgajmy w wszystkie Wcielenia i wszystkie objawienia, poza rąb osiągnięty pamięcią, iżby ożył duch samowładnie ni popierany ni krępowany pamięci nieudolnością a wymiarem czasu.

A jeśli wzmoże się duch, że tradycja własnego rodu i własnego szczepu nie wystarcza, tedy zapór duch nie zna, przez wszystkie ducha rody i szczepy bieży i przez wszystkie światła wierzenia, iżby w poszukiwaniu Prawdy nie w sobie, nie w swym narodzie, nie w swej wierze, nie na swym globie się zatrzymał,

jako że z wieczności duch wyszedł bez wymiaru czasu i w wieczność bieży bez wymiaru przestrzeni.

W poszukiwaniu tem potraça o dźwięk Ducha bożego, który się objawił po wielekroć w Człowieku. A objawienie jednym dźwiękiem dzwoni i jedną świeci tęczą nad wszystkim głos Prawdy i nad wszystkie globów nieprzeliczone ziarna, które nad ziarna piasku morskiego liczniejsze są...

(C. D. N.)



Dziękuję oryg. — J. J. Wroniecki.

Z „ROZMOWY O WIEDZY OSTATECZNEJ“

A ile razy powiesz, że ci już dobrze jest i nie chcesz większej mocy twórczej i doskonałości wyższej, to cię niedoskonałość dzisiejsza nieszczęściem ciała w dalszą drogę popędzi; idziesz więc, albo wracasz, bo stać na miejscu nikomu nie dano.

JULJUSZ SŁOWACKI.

WYBÓR POEZJI

OSKAR W. MIŁOZ

Z upoważnieniem autora przełożyła BRONISŁAWA OSTROWSKA.

Oddając literaturze polskiej ten krótki zbiór poezji Oskara W. Miłosza, nie przyswajam jej bynajmniej obcego dzieła, ale raczej zwracam rzecz, należącą jej z prawa i będącą niejako jej częścią rodzimą.

Oskar W. Miłosz jest bowiem Polakiem nie tylko z urodzenia, ale i z ducha.

Przypadkowe wychowanie we Francji dało mu w rękę narzędzie języka obcego, którym zawiadnął świetnie i nastroił na wszystkie tony swej bogatej skali poetyckiej. Zaczął pisać po francusku i stał się jednym z bardziej cenionych twórców najnowszej literatury francuskiej.

Ale ktokolwiek czyta się w te strofy, pełne nieokielzanych wybuchów i szerokich uniesień, odczuje, że przemawia z nich najśliszniej uczucie nawskroś nasze, a tak obce duszy romańskiej, że nawet w słowniku wyrazu na nie zabrakło, — tęsknota.

Dla Miłosza nieposzlakowana forma jego poezji jest nie ową kształtną amforą, w którą Francuz jak najchętniej płomyk twórczości swej zamknąć się sili, ale raczej kłatkę, o której pręty bije gorąco skrzydłami, rwących się poza świat formy, utęsknień.

Podłożem całej twórczości Miłosza jest walka. Dla tego też do przekładu pozwoliłam sobie wybrać „Mysterium don Miguela Manary”, które tę cechę twórczości Miłosza charakteryzuje najdobitniej.

Cała zresztą dotychczasowa poezja liryczna Miłosza okazuje nam tę samą linię przeżyć wewnętrznych, — od pierwszego „Poematu upadków” przez „Siedem samotni” do wyzwolenia czystych „Żywiółów” dążącą. Tą linią starałam się też kierować w „Wyborze”, zatrzymując się jednak dłużej na utworach późniejszych, których artystyczna dojrzałość, a niekiedy niby zablakana nuta naszego historycznego śpiewu, pociągała mnie i zniewalała.

Chciałabym dodać jeszcze, że wydanie w języku polskim poezji Miłosza, uważałam poniekąd za obowiązek z jednego jeszcze względu: Miłosz to jeden z najgorętszych nieprzejednańców „wieku ohydneho ponad wszystkie”, wieku, za którym świeżo zatrasnęły się płyty grobowe. Pierwsze wejście swe na poetycką arenę zaznacza Miłosz gestem „décadence latine”, gdy, w „śpiewie wina”, po trzykrotnym wysączeniu kielichów zapomnienia „na pochybel wiekowi”, wzywa do wysączenia toastu krwi serc czujących w trzykrotnym uderzeniu szpad: „Bowiem nam watdy żywota zbyt się rozrósł w duchu”.

W całej poezji Miłosza czujemy tę „Wigilię”, to oczekiwanie, wyczuwanie huraganu krwi, który z otchłani już szedł ku dzisiejszym przeżyciom naszym, — i tego Jutra, który nad oczyszczonym w ogniu światem powstanie nową jutrznią.

Pewna jestem, że te przełomy dobędą z duszy Miłosza nowe, wyzwolone tony, — ale tymczasem do bilansu przeszłości naszej należą strofy tamtej czekającej „Wigilji”.

SPIEW WINA.

*Wysqczmy trzykroć czary na cześć twą, wieczorze, —
Bowiem wszelaki smutek lepszy jest od nudy.
Już noc roztacza skrzydła szeroko na morze,
Na morze barwy rzezi, łun i szarów złudy,*

*Wysqczmy trzykroć czarę na śmierć Bachusową,
I wieków, które ponoć gdzieś żyły, niestety!
Widzieliśmy, jak płynął przez noc księżycową
Stary brzuch boga winnic w zgniłych falach Lety.*

*Wysqczmy trzykroć czarę za serca, otrute
Wiekami ohydny nad wszystkie! Zrośmy szaleń
Życie drogim a nudnym morałem okute,
A które, dzięki winu do cna przepomniałem.*

*Wysączmy krew serc naszych w szpad trzykrotnym ruchu, —
I niechaj noc na ciała dostojnie nam legnie,
I niechaj się serc wino ze krwią winnic zbiegnie,
Bowiem się wstyd żywota zbyt nam rozrósł w duchu.*

COLLOQUE.

*Usta nie są krasne, jak zachód, co prószy
W wodę, pełną odbić jesiennego boru.
— Stary sęp, co gniazdo uwił w mojej duszy,
Stary sęp nie lubi świeżej krwi koloru.*

*Patrz! w mych oczach kona bajka lata złota,
Dawnych, drogich pieśni echo w sercu gości...
— Jam ropuchę wstrętu dał na pierś żywota,
Puszczyk śpi we wklęsłym posągu piękności.*

*Daj, niech spłynie słodko nad twem sennem ciałem
Balsamiczna fala moich złotych włosów...
— Pod rudością suchą żrałych traw i kłosów
Nikną drogie groby tych, których kochałem...*

XIV.

*Tylko nie zdradz mię przed jutrem, — kędy żyję!
— Czarnych stawów pełno w borach, — za borami...
Jako echo, co ze studni wodę pije
Głos twój gra mi... księżycowem echem gra mi...*

*Ni imienia mego nie mów, — nawet we śnie!
— Przeszły lata, — przeminęły dawno lata...
Jako drzewko, co choruje w wczesnej wiosnie,
Jest biel twoja, — nieskalana twoja szata...*

*I niech ciernie nas osłonią, — nas osłonią...
Bo mię chwyta lęk powrotu — przed powrotem.
— Białe kwiaty do twych kolan wkrąg się kłonią,
Cienie bledną, rozkochaną śniąc pieszczotę.*

*I tym leśnym wodom nie mów, kędy jestem!...
— Moje imię zmarło dawno; przed wiekami.
Twoje oczy są, jak chmura, co szelestem
Młodych deszczów zadumane wody plami.*

*— Ani nie zaradz się wichrowi z nad cmentarza, —
Boby może zwiął mię z ziemi, — zwiął z pod nieba!
Jak noc letnia, twoich włosów woń rozmarza...
Żyć potrzeba! teraz tylko żyć potrzeba!*

KAROMAMA.

*Mysli me są przy tobie, o Karomamà,
Smukłonie, zbyt wątłe dziecię obcych nieb,
(Karomamà, córka Teb,
Co piła odwar zbożny i jadła zbożny chleb,
Jako wierni w wieczory pod Tamaryszkami...
Królowna ma, Karomamà,
Umarła dawno, dawno — przed wiekami).*

*Mysli me są przy tobie, o Karomamà,
Której imię dalekie gra, jak echo skarg,
Półśmiechem i półpłaczem zrywając się z warg.
Boć jest śmiesznem i smutnem — kochać — duszo ma,
Królową, która pośród dziwnych malowideł
Żyła w swoim pałacu, pełnych gryfich skrzydeł,
Przed tysiącami lat... Karomamà...*

*Coś czyniła w poranki twe, Karomamà?
Ku jakiemu bogowi o zwierzęcej głowie
Hieratycznie ściągałaś swe zbyt chude ręce,
Kiedy rzeka łagodnie płonęła w jutrzence?*

*Pani moja, o cichych, umęczonych oczach
I trefionych uczenie bolesnych warkoczach,
Zmarła w latach tak dawnych, że je skrywa mgła...
Biedna, biedna i moja ty, — Karomamà.*

*A w twe dnie co czyniłaś, kapłanko uczona?
Siadywałaś zapewne wśród służebnic grona,
Które były posłuszne ci, jako węzowie...
I gniewna, niżąc perły, śniłaś słodkim snem,
O królewicach z dziwnych, oddalonych ziem,
Ponurych i wschodnimi aromaty wonnych,
Przyjeżdżających zdala na nawach pokłonnych,
Aby rzec kornie: pokłon ci, Karomamà.*

*A w wieczory wiecznego lata, w sykomory
Wonne skryta, jak cichy w księżycu kwiat moary
Śpiewałaś swoje biedne zmarłe — i upiory...
Dalekie echo ci bywało gra,
A dreszcz wstrząsa twojemi dziecięcemi biodry,
I czujesz, jak się wznoszą pod wielkiem westchnieniem
Twe niskie, ciemne piersi, drżące przerażeniem...
Wszak prawda, — było tak, — Karomamà?*

*Aż kiedyś... (czyż nie była snem Karomamà?)
Spowinęli jej ciało w żółte bandelety
I zwarli w słodką trumnę z cedrowego drzewa,
A milczenie wchłonęło jej głos, co mi śpiewa.
Skrybowie powierzyli jej imię na wieki
Papirusom, — i wszystko jest jak sen daleki
Jak łkanie wód w ciemności: gdzie ty? gdzie ty? gdzie ty?*

*I ty wiesz jedna tylko, o Karomamà,
Że duch mój jest jak rozjek, który morze czyni,
Zasię samotny taki, jako sfinks w pustyni
I cierpiący chorobę, co się — „nigdy“ zowie.*

*I wiesz to sama, lepiej niż rzec można w słowie,
Ty, wszechtajemnic wiedna,
Że los wypalił w duszy mej śmiertelne znamię
Złudnych łask i istotnej klęski, co mię łamie.*

*Tak, — wiesz to wszystko pewnie, ty, pani daleka,
Mimo wyglądu dziecka, co ostał z przed wieka,
Zaklęty dłonią mistrza w małym twym posągu,
Zcałowanym pieśczołą długich wieków ciągu,
Wieków, które tęskniły do cię, biedna ma...*

*Czuję cię obok siebie dziś i patrzę na cię,
Słyszac, jak szepcesz w mroku: „Nie trza się śmiać, bracie...”*

Myśli me są przy tobie, o Karomamà.....



Drukoryt oryg. — Jerzy Mulewicz.

Z „GOLGOTY SERCA I DUCHA“

ZA KRATĄ.

Wprowadzono mnie do celi.

Skrzypnął przeraźliwym zgrzytem zamykający się zatrzask u drzwi, co mnie na zawsze dzieli od reszty żyjących.

Marą-ż jestem i zjawą pobladał, czy człowiekiem jeszcze?...

Sam nie wiem. Wydaje mi się, że wieki już minęły od chwili, kiedy patrzał na Słońce.

Oczyrna duszy widzę przed sobą szarą, wąską ścieżynę, wijącą się gdzieś w nieskończoną dal, w szarej pustce bezkresnej!

Taką będzie odtąd moja droga. Ni celu, ni promieni słonecznych, ni obłoków jasných, ni kępy drzew zielonych na wytchnienie.

Martwa pustynia — kajdany ciężkich dni, co zapomniali o wczoraj, a jutra mieć nie będą. Jeden długi, szary łańcuch bez końca.

Znowu ten straszny, dręczący ból w czaszce... Mam uczucie, że całe gniazda żmiji i gadzin w głowie mi się mieszczą i gryzą się wzajem zajadle. Myśli płaczą się, wiją, skręcają jak te węzowe sploty. A każda myśl boli — każda jest żmiją zjadliwą.

Pamiętam jak we śnie — poraz pierwszy uczułem ten ból wtedy, gdy się ocknął w lazarecie polowym; przyniesiono mnie tam z tego ziejącego piekła — pamiętam — ach! — pamiętam... Ziemia drżała, jak w konwulsjach śmiertelnych od straszliwego huku i grzmotu pękających granatów — jedna wielka luna rozrywała ciemność nocy — pioruny — świsty — gwizdy — dzikie szatańskie jęki i fale wstrętne smrodliwych gazów zalewały powietrze, za gardło chwytając, dusząc niby żarłoczne wampiry.

Boże, Boże, czyż to piekielne ogniste podziemia?

Czy dzień Sądu Ostatecznego nastał i świat cały przepada w krwawo purpurowej zmurze?...

— porwały mnie furje piekielne, okrutne moce, — rzuciły w jakąś toń głęboką, litościwie — bezwiedną, gdyż zapadło wszystko...

Szary świt przedziera się przez szyby sali, w której leżę. Dokola pełno białych łóżek, a na nich blade, skulone widma.

Pochyla się nademną szara postać zakonniczcy — spragnione, spalone wargi zwilża lykiem wody.

— — I nagle przypomina mi się ten potworny, huczający, purpurowy majak nocny... Skrośnie ściskają żelazne kleszcze, ostre nabite gwoździ.

Czyż — to cierniowa korona w czoło mi się wpija?...

Tak — wiem teraz. Chrystusem jestem — synem Boga żywego — co na świat zstąpił, by odkupić Ludzkość. Cierpienia ludzkości całej wziąłem na swe barki i tę okrutną cierniową koronę na skronie.

Kolec każdy wciska mi się w głowę, niby ostrze gwoździa, cierpię, strasznie cierpię...

Ale muszę zbawić świat.

Wszak Chrystus go nie zbawił — wszak męka jego próżna była i bezowocna.

Miłości uczył, przebaczenia i pokory. A dziś, świat cały tonie w nienawiści krwawej, w chciwości sromotnej, w nieprawości i obłudzie.

O Chryste! Złym ty byłeś zbawcą! — —

Ja cierpieć chcę tysiąckrotnie więcej jeszcze, byle nastał świt upragniony, wyczekiwany...

Krzyknąłem głośno, że Chrystusem jestem, co zbawienie zwiastuje ginącym światom.

Szara postać siostry miłosierdzia zerwała się z krzesła lekliwie, że zgrozą znak krzyża zrobiła na piersiach. Rzekła, że bluźniercą jestem, nędnym grzesznikiem — modlić się kazała w pokorze.

Ale do kogoż mam się modlić?... Tylem się modlił łzami krwawymi, westchnieniem, jękiem, cierpieniem, błaganiem rozpaczem...

Napróżno.

Nie jestem bluźniercą, ale Chrystusem — i świat wybawię od męki. Wszakże cierniową noszę koronę.

Krzyczę im to i powtarzam nieustannie.

Wtedy przywiedli mnie tutaj.

Jak strasznie, ponuro i szaro w tej celi. I na co te okna zakratowane szczególnie?

Ach, słońca choćby jeden promień!

— Tak bardzo cierpię. Czy znajdę siłę do wytrwania?

Węże i gady, piekielne zawodzą harce w mym mózgu, szarpia, żrą, rozdzierają na strzępy wszystkie tkanki.

— — Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?

— — Przez zakratowane okno celi płonie wąską smugą krwawa luna zachodu — za nią czarna nocy chmura — kir żalobny. To góra Kalwarii — to święta godzina Męki...

Głowa zwisa mi na ramiona.

Już się spełniło.

Zbudziłem się, cały potem zlany. Podłe gadziny, co czaszkę moją za gniazdo sobie obrały, spokoju

nie dają. Uczępiły się każdego korzenia moich włosów, każdy korzeń rwał, targając, szarpiąc bez litości. Jak ja to zniosę?

Eureka! Zwycięstwo!

Cudowne zrobiłem odkrycie. Wyrwać będę włos każdy z głowy, jeden po drugim. Z nim pozbędę się każdej gadziny zjadliwej — z każdym włosem wyrwę jedną myśl okrutną.

Zabiję w sobie Myśli Udrękę.

I wtedy będzie nareszcie spokój...

MÓJ PAŁAC KRYSTAŁOWY.

Cudny-m zbudował sobie pałac — podobnego nie ma na świecie całym. Chyba gdzieś „w zaświatach”, dokąd nie zaszła ludzkie oko.

Z najprzejrzystszego kryształu jaśnieje. Smukłe wieżycy i kolumny w górę strzelają, jak wlotne, szczytne Ducha porywy. Lśni cały barw tysiącem, niby opał przedziwny, niby słońce poranne w rosy kropelce.

Lekki przejaskny mój pałac gdzieś w błękitach zwieszony, a skraju różowych uczepion obłoków. Cudo cudów świata — filigranowa medjołańska katedra z tysiącem swych misternie ciosanych wieżyc i posągów, ciężką, przyziemną mi się wydaje bryła wobec czarownej lekkości mej budowli.

Nieziemskim bo też jestem budowniczym...

U wejścia wznoszą się arkady z łuków tęczyowych, promienne fale złocistego słońca zalewają mój pałac i błękitno-lazurowe potoki.

A różowe jeziora, skąpane w pomarańczowych odbłyśkach, — o brzegach liljowych całują jego kryształowe stopy.

W wnętrzu jego drgają fale dźwięków i harmonji, co przykuwają dusze, a jednocześnie unoszą w szczęśliwość nadludzką... Płyną wonie rozkoszne, upajające, a nieuchwytnie, nieznane!

Wszystko tam cudem i czarem...

Mój pałac kryształowy niedostępny jest dla rzeszy ludzkiej. Strzegą go i jeziora tęczowe i świetlane kolumny i bramy z wzorzystych, brylantowych utkane pajęczyn i czarne sfinksy, i smoki skrzydlate o wielkich ślepiach szmaragdowych. Drzewa i krzewy o fantastycznych kształtach okalają go — jak w baśni — szklaną przejrzystą zieloną gęstwiną. Zwiezają się zewsząd kwiatów kielichy bujnym potokiem purpury, to leciutką pianą seledynowych lazurów, — lub blade-różowe zwoje i liljowe grona, niby kosztowne

naszyjniki z ametystów, czy rubinów jasnych — przednie kwiecie o woni i barwach, które na ziemi nie istnieją.

O ukochany ten mój przepiękny pałac kryształowy —

taki zwiewny, a taki samotny. —

Nie ujrzało go żadne ludzkie oko, nie przestąpiła jego świetlanego progu żadna stopa człowieka.

Ale zamieszkały w nim najcudniejsze moje sny i marzenie uroczne,

wszystkie moje jasne, słoneczne porywy i tęsknice,

moje pragnienia płomienne, a czyste i górne.

I spokój — i piękno! i harmonja —

wszystko to, czego już nie ma na świecie...

I wszystko com ukochał całą duszy potęgą...

A gdy nareszcie gotowy był mój pałac z kryształu, zamieszkać w nim zapragnąłem na zawsze.

Serce łopotało mi w piersi, niby lekkie młode ptaszę — uchwycone dłonią chytrygo człowieka — na myśl samą, że odtąd królem i panem będę w czarnym świecie moich myśli i pragnień i snów promiennych...

A daleki od ludzi — daleki od niskiej brzydoty i marnej bezcelowej doli ziemskiego robaka —

— I oto nadszedł dzień radosny. Wzbiłem się na szczytne wyżyny — ku słońcu poniosły mnie dobre duchy łaskawe, hen, wysoko, ponad szarżynę mrowiska ludzkiego.

Ale napróżno szukały spragnione oczy jasnego przybytku —

Pałac kryształowy nie istniał, zniknął —

Zamiast świetlanego cudu, wylękle, osłupiałe żrenice ujrzały przed sobą szarą próżnię, czarną kulę potwornie skłębionych ołowianych obłoków — ohydą ciemnicę bez nadziei.

I powiał lodowy jakiś wiew, co ducha mrozi — i zaskowyczał dziki zgrzyt piekielny:

„Dobrze ci — ty budowniczy nadziemskich kryształowych cudów... Wiedz, że nikt one są i — niby bańki mydlane — we mgle się rozplywają za jednym moim technieniem.

„Tylko fabryki, giełdy, śpichlerze i handlowe gmachy, z twardego budowane kamienia, wartość mają i trwałość i znaczenie. —

„Tylko to, co zysk przynosi i pieniądz — —

Padłem twarzą na ziemię...

ASBEIN.

PACTA POETICA

I.

Poezjo! stań przedemną naga
 i zwiędłe wianki odrzuć z czoła!
 Niech głos twój głosem wicherów woła,
 piorunem smaga!
 Z kwietnego dobądź się bagniska,
 z kadzidel woniejących czadu;
 rzuć czary z sokiem winogrodu —
 niech się w kryształny pył rozpryska!
 Do martwych gwiazd nie podnoś źrenic
 i w księżycowych nie kwil blaskach —
 lecz stań się siostrą burz-szalenic,
 orkanem w pustyni piaskach!
 I nieszczerości przeklinij trądy,
 fujarek fałsz wśród rosy pereł,
 rąk nie pręż do magicznych beret —
 tylko czyń sądy!
 Skrzydlatą nie chcesz być i białą
 jako ze sceny anielica,
 a jeśliś chmurna, to chmurz lica,
 a jeśliś rada, śmieję się śmiało,
 i pogardzę wszystkim, co się wzdraga
 w twarz życia spojrzeć z siłą, hardo!...
 Na ducha złóż mi rękę twardą,
 stając przedemną naga.

II.

Zaprzęgnę cię do taczki —
 Kamienie tłucz na szosie
 i białe gładkie stopy
 omywaj w chłodnej rosie.
 Nie ma czasu na tryle
 w księżycowe północy —
 stanąć musisz o świecie
 do košby i do młocki.
 Nędza chodzi po świecie
 wychudła, z głodu szara —
 więc od białego chleba
 i tobie wara!

Ty niczyja... Ty moja...
 Z kłamstw ci serce oczyszczę,
 ramiona ci rozpętam —
 dobędziesz się nad zgłiszczce.
 Lecz skrzydeł nie pożyczaj
 u ptaka nie anioła,
 od rana do wieczora
 pracuj mi w pocie czoła.

Trzeba odwalać gruzy,
 trzeba wyrwać chwasty;
 niech ci się w snach nie jawią
 Lechowicze i Piasty.

Czas królów i rycerzy
 przeminał bez powrotu,
 i inne dziś stoją straże
 u doli kołowrotu.

Idź naprzód, naprzód, naprzód
 ku nieodkrytym światom,
 ukochaj piersią całą
 najlichszy życia atom.

I oczu nie odwracaj
 od ran ani łachmanów;
 lecz pierwsze, a zaś w drugich
 odnajduj sobie panów.

W nich tobie królewicze
 przyjdą z życiowej baśni
 i miłowanie prawe
 źrenice ci rozjaśni.

W nich tobie i królewny,
 jak siostrzyce na gody,
 zawłoda w takt piosenki
 weselne³ korowody.

Idź naprzód,² naprzód, naprzód,
 gaś, co bez celu płonie,
 niech oddech twój po ziemi
 polarnym chłodem wionie.

O, piękna wyrobnico
 w ciemnej chuście na głowie,
 a kwiecą ci się usta,
 jak młodych róż pąkowie!

O,¹ piękna wyrobnico,
 o bladej smagłej twarzy,
 z pod łuku brwi ściągniętych
 wzrok twój ziębi i parzy.

O, piękna wyrobnico,
 w blaskach wczesnego rana
 w świst wicherów o przyszłości
 poważnie zasłuchana!..

III.

Piekielne wreszcie ugaszę pragnienie,
w krwi krzywdy zmazam twoje złote pióra,
głodem i męką przerażę twe lice,
izbyś mi oto, jak gradowa chmura,
leciała ziemią niecię nawałnice —
i tylko była młotem, co rozkrusza,
nożem, co serca zastygłe otwiera,
widmem przekleństwa, które nieumiera,
i przez śmierć niesie z śmierci wybawienie.
Niechaj się w tobie każda podła dusza
przerazi w głębi, zaskowyczy z lęku,
a ty mi będziesz, jak sokół na rękę,
i jak chart lotny, i jak koń wichrowy,
świat tratujący, z skrzydłami u głowy.

IV.

Brutalne daruj słowa,
bluźnięte w twórczej męce.
Jak korona cierniowa
głowę oplotły ręce.
Jako ptaszka, jęcząca
na złomie sarkofagu,
dusza przestwórz zamąca
wołaniem: Wynijdz Magu,
Kuglarzu! W mroczne rano
wynijdz, Losie, na pole,
na ziemię udeptaną,
na tę jałową rolę!
Zmóż się ze mną, przesiliłuj,
do nóg powal, tnij z góry —
lub się nade mną zmiłuj,
uwolnij od tortury!

Tak dusza w trwodze woła,
By już nie goreć więcej —
wyjścia z błędnego koła
szuka w wierze dziecięcej.
By prędzej dojrzeć końca,
chciała, Poezjo, ciebie
bez powietrza i słońca
o czarnym zamknąć chlebie.

By już nie patrzeć więcej
na męki Iksjonowe,
chciała twój chód ksiązęcy
zmienić w marsze miarowe;

na królewskie ramiona
drwa nałożyć stągiewne,
od złotego wrzeczona
wiotką zabrać królownę.
Brutalne daruj słowa!
Na sługę bądź łaskawa!..
Tyś Pani i królowa,
monarsze twoje prawa.
Gdy zwolisz — gronostaje
na szatki zmienisz lniane,
i pójdziesz na rostaje
pod zorze roześmiane.
Gdy zwolisz, to z oraczem
puste zwiedzisz ugory,
serdecznym płacząc płaczem,
że nagie do tej pory.
Gdy zwolisz, to z alkowy,
gdzie snów złote gromady,
miecz dźwigniesz pradziadowy
w świt spoglądając blady.
Gdy zechcesz — z kół fabrycznych
rozsławiasz się zgrzytaniem
i w ogniach błyskawicznych
tam staniesz, gdzie my staniem.
Czyń jako chcesz! Twa wola
niech się w mem sercu dzieje!
tak mi zakwitną pola,
jako twa dłoń posieje.
Tam słońce mi zaświeci,
kiedy błysną twe oczy —
przez nie w wichrów zamiecie
ton odnajdą proroczy.
Czyń, jako chcesz — tyś Pani.
Łącz serca mego nuty
to w weselne peany,
to w gorzki psalm pokuty.
Lecz błagam: żadną dobą,
czy gwiazdy śpią, czy święcą,
nie zostaj nałożnicą
tych, co chcą kupczyć tobą.

SAMO-UZDROWIENIE

ROZPRAWA MYŚLOWA

Należał do tego rodzaju ludzi, co to się wprawdzie uważają za bojowników — lecz często sceptycznie pytają: „czyż warto walczyć? Pocóż staczać bój przeciw naturze? Pocóż staczać bój, który teraz przynosi z sobą mękę i ból, a później niepewną a może i żadną nagrodę?“ Ludzie tacy wydają się sami sobie być bez charakteru w swych wahaniach, gdyż nie wiedzą, że podobni są igle magnetycznej, co to tysiącem rzeczy odwodzona, trwożnie tu i tam waha a przytem przecież tylko szuka bieguna, na który jest nastawiona. Ludzie tacy nie wiedzą, że i u nich niepewne wahania dowodem tylko są owego poszukiwania wszechpokoju, który to celem jest ich myśli, jako biegun celem igły magnetycznej.

I on był takim. Obudził się dziś z drzemki popołudniowej z przykrem uczuciem, z jakiego sam nie umiał sobie zdać sprawy. Drżał z zimna mimo koldry jedwabnej, którą to przykrył się był przed zaśnięciem. Z leżącej swej pozycji spojrzął przez okno na brudne niebo listopadowe, z wąskim paskiem różanem na zachodzie; lecz nawet pasek ten jasny zdawał się być na to tylko, by uwydatnić beznadziejność całości. Słońce zaszło; światło dzienne szarzało.

Chwilę leżał bez ruchu, z wyrazem twarzy człowieka, który myśli nad czemś przykrem. Uszu jego dolatywały od czasu do czasu dźwięki odległego fortepianu. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej melancholijnego? Było to wprost nieznośne.

I cóż to mu się dziś wydarzyło? Jakiś przecież powód być musiał; jakżeby inaczej dojść mógł do do takiego usposobienia! Przypominał sobie, że z czystej przekory ułożył się do snu. I przypomniał sobie dalej wreszcie, o co mu to chodziło. Nie wiedział znów, jak to już nieraz, poco właściwie żyje i istnieje. Myśl ta z taką natarczywością męczyła go przez dzień cały, iż chciał uciec przed nią we śnie. Rano już obudził się w dziwnie nieelastycznym usposobieniu i nawet nie nie pomogła mu chłodna kąpiel. Zdawał się sobie być w stosunku do świata zewnętrznego nieodpornym, jak miękka piłka gumowa. I doszedł, sam nie wiedząc jak, do jednego z onych złych dni, kiedy to człowiek czuje się opuszczonym przez samego siebie. Uciekanie się w usposobieniu takim do modlitwy, oczekiwanie pomocy nadprzyrodzonej, oddawna już uznał jako oszukiwanie samego siebie i zaprzastał tego, jako czegoś bezużytecznego. Doszedł do wniosku, iż człowiek przez modlitwę, stara się właściwie tylko dojść do porozumienia z samym

sobą i że transcendentalność podpora tylko jest przy tym procesie. Przekonał się, iż człowiek myślący, pomoc znaleźć musi na swe potrzeby w samym sobie, t. j. w myśleniu, że wszystko inne, to surogat, którym zadowolić można dzieci, lecz nie duchowo dojrzałego. Religją była mu nie wiara w Boga, lecz zdolność o własnych siłach załatwić się z życiem — przez myślenie.

Podsunał ramiona pod głowę, by leżeć nieco wyżej i spojrzął na lewo i prawo. Po lewej stronie była ściana. Wisiał na niej mistrzowski kwasoryt — naga dziewczyna, trzymająca w prawym ręku basetkę, a taki miała wyraz czystości w twarzy i kształtach, że całość, mimo zupełną nagość wrażeń robiła asekualne.

„Jakże nudną jest ta nagość“, myślał i odwrócił się, „bardzo to niewiele, gdy dziewczyna tylko jest naga“.

Sposób, którym artysta odtworzył przedmiot ten, nie oddziaływał na niego. Od czasu, gdy rozpoczął myśleć samodzielnie, zmienił się całkowicie stosunek jego do sztuki. Jako sztuka stała mu się obojętną. Zajmowała go tylko, o ile wzbudzała w nim pewne procesy myślowe. Do muzyki, której za młodu całkowicie był oddany, odnosił się wprost nieufnie. Bachancka piękność pewnych dzieł, co dawniej uwielbiał, była mu dziś tylko napaścią na trzeźwą jasność jego myśli. Rzadko tylko genialna pierwotność motywów Beethovena zapalała w nim dawną iskrę. W ogólności przeciwnikiem był owego przesycania się bezsłownymi uczuciami. Przed laty nie wyobrażał sobie życia bez muzyki. Dzisiaj nie rozumiał już takiej zależności. Dzisiaj wiedział, iż harmonijne, w sobie skupione myślenie, muzyką jest najpiękniejszą.

Wzrok jego przesłiznął się raz jeszcze po dziewiczowystydliwych członkach, po rozbudowanych, lecz jeszcze wół-młodzieńczych biodrach i zatrzymał się na przeciwległej ścianie.

Stały tam książki jego, mała lecz wyszukana biblioteka. Duchowa śmietanka ludzkości łączyła się w niej, wschód i zachód stały ramię przy ramieniu; obok biblij chrześcijańskiej — Koran; obok mistrza Eckhardta — mistycy perscy i upaniszady indyjskie; obok Epikteta i Marka Aureliusza — filozofowie chińscy Konfucjusz i Laotse. Były tam wszystkie główne kierunki filozofii zachodnich — od boskiego Platona i ciemnego Heraklita do Nietzschego i Bergsona.

Każdy tom, na który padło oko jego, przywoził mu pewien proces myślowy na pamięć. Zazdrość uczył w stosunku do samego siebie. Cóż dąłby za to, aby raz jeszcze teraz, po raz pierwszy odkrywać jako Cook, jako Kolumb te światy myślowe, te duchowe kontynenty, by móc raz jeszcze oddać się upojeniu nowości. Jakże zasmucająco szybko traci wszystko na tym świecie dziewiczy swój charakter! Jakże zasmucająco szybko dla każdego z nas staje się świat z oblubienicy — kobietą! Czyżby to na tem polegało, że cała zawrotna różnorodność zjawisk, złudą jest tylko i omamą? Jako rzekł kucharz Pompejusza, gdy tenże dziwił się obfitości potraw: To wszystko to samo mięso — tylko sosy rozmaite.

Naraz, pozornie zupełnie nieuzasadnione, przeleciały mu przez myśl słowa Polonjusa z Hamleta: „Zwięzłość duszą jest dowcipu, rozciągliwość ciałem i zewnętrzną ozdobą.“ Starał się odszukać jakowyś łącznik ideowy między biblioteką swoją i tą myślą. Musiał przecież istnieć tu jakiś związek, gdyby nie wierzył w myślowe prądo. Lecz tropu odnaleźć nie mógł. Wprawdzie nietrudno było sobie później, z pomocą refleksji, wyszukać ślad istniejący. Można by tak rzec n. p.: „Wszyscy ci filozofowie od Platona do Bergsona w gruncie rzeczy podobni są gadule Polonjuszowi, który to zwięzłość duszą nazywa dowcipu, a myśl tę zabija już przy wypowiedzeniu przez to, że ją rozwleka. Taksamo i wszystkim tym filozofom nie zależy na tem, aby żyć według swych teorii, lecz by je ukazać światu w jaknajpiękniejszych i najgenialniejszych zwrotach. Czcze bogactwo ducha, pełna umysł płytkość, nic więcej.“

I znów wyszukiwać począł oną asocjację idei. Myślał: 'Jakże dużo dzieje się w nas, o czym nie mamy pojęcia nawet. Lecz czy może istnieć zdarzenie, bez powodu „czegoś“, czegobyśmy dociec nie mogli rozumem w przestrzeni i czasie? Nie jest-że w zaprzeczeniu takiego bezpośredniego zdarzenia, zarozumiałość ducha ludzkiego, który to uznać nie chce niczego słusznem i logicznem, na czym nie wycisnąć pieczęci prawa przyczynowości? A choćby się i człowiekowi udało wysunąć macki swego duchowego prawa pomiędzy wszystkie wypadki świata obiektywnego, czy uda mu się to kiedykolwiek w kierunku myślenia? Czy istnieje wogóle możność użycia prawa przyczynowości dla myślenia? Sama próba ta zawiera już sprzeczność w sobie — gdyż przedmiot takiej próby, musiałby być równocześnie swym podmiotem. — Stoi-ż więc myślenie poza obrębem przyczynowości, czy ponad nią? Nie! Powodem, dlaczego myślenie nie podlega prawu przyczynowości, dlaczego prawa tego nie ma jako właściwości — to to, iż ono samo przyczynowością jest. Jeżeli więc

myślenie przyczynowością jest, czyż można wymagać i przypuszczać, że prawu się podda? Nie będzie ono samo sobie wtedy prawem, jako poziom morza, będący miarą wysokości i głębi, nie, iż miarą ma, lecz iż miarą jest.

Równocześnie wyloniła się u niego niepewność nauki buddhystycznej o odradzaniu się i nie mógł się myśli tej pozbyć. Żądza życia tą jest siłą, która to bezpośrednio, bez względu na czas i przestrzeń, nie ścigana świadomością, a więc rodzajem samowolnej przyczynowości, zdobywa sobie przez śmierć podstawę w nowym materiale twórczym, w nowym matki łonie. Dlaczego Buddha nie wytłomaczył, nie wyjaśnił tego przejścia i tej wędrówki ku nowemu miejscu działania, aby móc mu w myślach podążać, jako za liną oko bieży lub jak bada się smak, płynącej po języku kropki.

Pojął: Jeżeli myślenie samo przyczynowością jest, jakżeby przyczynowość mieć mogło? Przy zdarzeniach powstaje pozór przyczynowości dopiero przez myślenie, niejako by zdarzenie bez myślenia nie miało żadnej przyczynowości. Przyczynowością w sobie są: przedmiot, tak jak i myślący podmiot. Lecz to, że przyczynowość jest ich właściwością, powstaje przez myślenie, jak i przez myślenie dopiero powstaje rozróżnianie pojęć. W rzeczywistości niema nasienia, kielka, rośliny, kwiatu, owocu i znowu nasienia jako odmienności. W rzeczywistości istnieje jeden tylko nieprzerwany proces twórczy według własnego prawa, a wszelkie różnice pojęciowe, nie leżą w zdarzeniu samem, lecz wprowadzone doń są dopiero przez myślenie. Bez myślenia, całe stawanie się świata by swej przyczynowości nie miało, leczby przyczynowością było. Pozór, że przyczynowość jest właściwością zaczyna się z pojęciowem różnicowaniem zdarzeń. Pojęciowe te różnicowania zaś dopiero myślenie wprowadza do zdarzeń. Do myślenia jako takiego jednak nie można użyć żadnych pojęciowych różnic. Przecież to poznanie samo, jakżeby je więc pojmować można? Jakże można czemuś niepojętemu stawiać żądania przyczynowych następstw w czasie i przestrzeni? Ja, indywiduum, jestem przyczynowości. Gdy indywidualny proces rozwoju tak się ukształtuje w pewnej fazie, że przystępnym będzie pojęciowemu zrozumieniu, a przez to i przyczynowem następstwom, to stanie się to tylko wtedy, gdy jest przedmiotowym, widzialnym i dającym się objąć zmysłami. To, co jest właściwością jego istoty, myśli i wola, nie jest przedmiotowe, niewidzialne i niezmysłowe. Nerozumnie to, przystosowywać prawa do spraw nie-zmysłowych i wymagać od nich by były podległe przyczynowym następstwom w czasie i przestrzeni. Przyczynowość jako taka nie ma nic wspól-

nego z świadomością, t. j. z celowością w przestrzeni i czasie. Sen nic nie wie o czuwaniu, ma własną swą świadomość. A jednak i sen i czuwanie są jednym łańcuchem przyczynowości, jednym tylko stawianiem się. Taksamo jest jednym tylko rozwojem szereg następujących po sobie żywotów. Każdy z nich ma swoją własną świadomość, a żądanie, by świadomość cofała się poprzez nie, jak po linie, równie jest nierozumnym, jak żądanie, by światło wyszło poza siebie. Życie samo sobie jest przyczynowością. Świadomość czynnnością tylko jest przyczynowości, a ja chcę z przyczynowości uczynić funkcję świadomości, gdy żądam, aby w wszystkich swych fazach dostępną była mojej śledzącej świadomości. Życie samo sobie jest prawem, a ja żądam, by ono uznało prawa, które jej nakłada duch myślący.

Nie jest-że w takim razie zdolność, którą wyznawał Buddha i jego uczniowie, zdolność przypominania sobie przeszłych form istnienia — cudem przeciwnym naturze? Nie! Istnieje przypomnienie, nie idące wstecz po linie wydarzeń, lecz wylaniające się bezpośrednio tu i tam, przeskakując i czas i przestrzeń. Istnieje znanie bez poznania; dowód na to, iż świadomość przyczynowością jest. I o takim właśnie знaniu bez poznania, o bezpośrednim wylaniu się, mowa jest przy przypominaniu sobie przeszłych form istnienia. Zdolność tę zdobywa się nie przez ćwiczenie zwykłej, na zdarzeniach polegającej pamięci, lecz wręcz przeciwnie, przez oderwanie się od wszystkiego, co przeciąża tę zwykłą, pośrednio działającą pamięć. I w ten tylko sposób znajdzie sobie owa subtelna, bezpośrednio działająca zdolność przypominania dogodne warunki, umożliwiające jej wylaniać się tu i owdzie.

Jasność, z jaką to wszystko odczuwał, uspokajała go. Dostojna myśl o samouprawianiu zaczęła działać i przyjmowała nieznacznie moralny charakter, w myśli o samoopowiedzialności. Jakie to dostojne i jakie straszne, myślał, być odpowiedzialnym przed sobą samym. Jedynе prawo, które człowiekowi pozostaje, to prawo co do obowiązków względem siebie. Być panem nad sobą, to być swym własnem sługą. Wolność osobista to samoustanowienie sobie praw.

Starał się uświadomić sobie myśl tę, którą, że tak powiem, czuł tylko. Dziwne, myślał, że myśli też odczuwać można! Lecz czyż nie jest uczuciem ta ostatnia i najwyższa z myśli, myśl o wyrzeczeniu, oderwaniu się na zawsze — nie jest-że to uczuciem? Jeżeli odczuje, że życie, tak ziemskie jak i pozaziemskie, jest czemś, czego lepiej, żeby nie było, więcej mi to pożytku przyniesie w drodze ku ostatecznemu zbawieniu, niż chaos najuczciwszych myśli. I jest to

cicha potęgą, która poprzez wszelkie przeszkody nadaje kierunek myślom, tak, jak biegun, który kierunek nadaje igle magnetycznej.

Podczas tych rozmyślań padł wzrok jego na wiszący obok biblioteki mistrza japońskiego drzeworyt, przedstawiający japoński pejzaż nadmorski w pełnym świetle ogromnego księżyca. Opadło go uczucie i ukojenia i tęsknoty. Przypomniała mu się piękność owej nocy księżycowej, której doznał na pokładzie okrętu podczas jazdy na jeziorach środkowej Japonii. Jakże pięknym jest świat! Jak wspaniała wolność w niej! Lecz czyż i wolność od niej idąca? Czyż to możliwe, uczuć się oderwanym od wszystkiego, co ludzi z sobą wiąże, a jednak być z życiem tysiącem nici łączonym? Przypuśćmy, myślał, że to mój ostatni dzień. Czy chętniebym odszedł? Nie! Nie z przywiązania do życia, lecz dlatego, że dużo mam jeszcze do zdziałania. — Jednakże, to „dużo do zdziałania“ — cóż to ostatecznie innego, jak przywiązanie do życia, chowające się poza rozliczność obowiązków. Tylko przywiązany do życia człowiek dużo ma w nim do czynienia. Kto nie jest dość przywiązany, każdej chwili będzie je umiał porzucić i uczuć się zbędnym. — Lecz przecież, wtrącił, nie chodzi tu o działanie; chodzi o myślenie. Nie doszedłem jeszcze do ładu z myśleniem; dlatego tak silnie jestem z życiem związany. — Lecz cóż to za myśl, która mnie uprawnia do takiego do życia przywiązania? Czy może myśl oderwania jako takiego? Jest-że sens mówić: Nie zrywam jeszcze z życiem, gdyż nie zgłębiłem jeszcze dostatecznie myśli oderwania się? Nie równa-ż się ten, kto tak wnioskuje, człowiekowi który postanowił oddać wszelkie swe dobra i aby móc dawać dużo i długo, odpowiednio stale stara się o wzrost owego dobra?

Myśl o oderwaniu się od życia wtedy tylko ma wartość, gdy nie służy zachowaniu tegoż życia, lecz właśnie oderwaniu się odeń. To przecież myśl, w której łączy się myślenie i byt, pojęcie i przedmiot. Szczere oderwanie się od życia znaczy to oderwanie się od wszystkich celów życiowych, od każdego „żeby“. Chcieć żyć, aby móc się oderwać, jest to przemycanie nowego celu życiowego w życie; znaczy to: uczynić oderwanie się formą chwytania, zaprzeczenie formą potwierdzenia; krótko, znaczy to: kłamać! Życie to żądza życia; życie to niewiedza o życiu. Jasno to Buddha wykazał. Używając wiedzę o życiu prawdziwem na to tylko, by uczynić z niej nową formę żądzy życia, stanie się życie kłamstwem, oszukiwaniem samego siebie i w tej formie coraz to więcej poplącze się w sobie. Życie podobne jest węzłowi. Przez kłamstwo staje się pętlą. Nie ma rzeczywiście sensu rozwiązać węzeł, by zrobić zeń pętlę.

Przypuśćmy, myślał dalej, iż wiem, że to ostatni mój dzień. Jakże zachowałbym się? Choć niechętnie odejdę, lecz czy z spokojem przynajmniej? Czy pójdę trzeźwy? Czy jak najemnik po upływie czasu roboczego? Lub czy spróbuję może, urządzić sobie jeszcze w pośpiechu myślową ucztę skaźnicą? Przygotuję się do wyszukanej, duchowej biesiady?

Dzisiaj rano rozmawiał z młodym człowiekiem, którego wskutek ciężkiej rany zwolniono z służby wojskowej. Przy cofaniu się oddziału dostał biedak strzał w krzyż, co go w tej chwili zupełnie ubezwładniło. I w tym stanie bez żadnej pomocy leżał przez pełnych jedenaste godzin w najstraszniejszym ogniu huraganowym, bezbronny w otwartym polu, każdej chwili oczekując rozszarpania w kawałki przez dokoła pękające granaty. Dopiero po jedenastu takich godzinach zabrali go sanitariusze. Bohater opowiadania naszego słuchał tej historii z największym zajęciem. I spytał się tego skromnego, biednego człowieka, zdającego się nie wiele zważać na te straszne przeżycia: „A coście to myśleli, przez cały ten czas tak tam leżąc?” Zamiast odpowiedzieć, spojrzał tamten na niego z uśmiechem, jakoby chciał powiedzieć: „Drogi panie, w takich chwilach więcej się czyni, niż myśli”.

Wspomnienie to przeszło mu przez głowę. Od lat już było jego marzeniem przy śmierci zachować wykwinność myśliciela. Chciał umrzeć cicho, z jasnym, świadomym spokojem, nie w tłumie, nie w hałasie, nie w pośpiechu. Tak jak przy jedzeniu nie lubił głośnego towarzystwa, tylko spokój i na siebie samego skierowaną uwagę, pragnął tego i przy umieraniu. Jak zwierzę, czujące śmierć bliską, ukrywa się i szuka sobie miejsca ostatniego spoczynku, tak i on ukryć się chciał, gdy uczuje, że śmierć się zbliża; sam chciał sobie obrać miejsce spoczynku i jasną świadomość mieć do ostatniej chwili. Chciał, że tak powiem, być obecnym przy swem umieraniu. Niegodnym zdawało mu się być, że w teraźniejsze swe życie wstąpił tak zupełnie bez własnej o tem wiedzy. Nie tak działać się znnowu miało przy umieraniu. Chciał bacznie iść z samym sobą, trzymać cugle aż do owego ostatniego momentu, kiedy to wóz życia pod nim się załamie. I tu, w chwili załamania się, sam chciał sobie nadać kierunek ku nowemu polu działania, do nowego matki żywota, jak człowiek zrzucający się ze skały, w skoku jeszcze kierunek sobie nadaje. Zdawało mu się, nie być obojętne to, w jakim usposobieniu duchowym znajdzie się przy umieraniu. Dobrze to wiedział, że myśli jego przy śmierci nie wchłonie w siebie boskie wszech-słońce, nie będą razem z mózgiem jego, pokarmem robactwa. Dobrze to wiedział, że myśli jego to kielki, z których wyrosnie nowe ży-

cie. Dlatego to ta ważność życia myślowego przed śmiercią.

Z jednego jasno sobie zdawał sprawę: Nie zwoliliby nigdy, chorobie w niegodny sposób z sobą postępować. Gdyby tylko spostrzegł, że zdobywają sobie miejsce w jego ciele obce psychiczne wpływy, silniejsze niż on sam, ustąpiłby im cicho i dobrowolnie. Pocóż długo walczyć o zabrudzoną, zapyloną, nieużyteczną maszynę, o zziemiałą formę, o zarazę szerzącą kupę mięsa. Tego nie możnaby nazwać samobójstwem. Myśl o nim była mu daleką. Samobójstwo było mu tylko owem aktem rozpacz, pochodzącym z zawiedzionych nadziei życiowych i dlatego niczem więcej, jak wyrazem potwierdzenia życia, ostatnim, dzikim wyrazem życia potwierdzenia, tak wściekłym, że przy jego udowodnieniu okazuje się za słabą formą zewnętrzną na rozszarpuje się w kawały. Tego nazwać nawet nie można samobójstwem. Na podstawie spokojnej rozważki było to tylko przesunięciem i regulowaniem granicy między obecną a przyszłą formą istnienia. Wiedział o tem dobrze, że Buddha często nauczał: „I w chorem ciele, niechaj duch nie będzie chorym. Tak winniście się ćwiczyć.” Lecz — wiedział i o tem, że nieraz chore ciało ducha ku sobie ściąga, wikał go w swe odruchy i niezdolnym go czyni do wyroków o samym sobie. Zupełnie był zdecydowany, nie dopuścić do tego nigdy. Wolałby nawet nieco samowolnie podjąć się owej regulacji granic; wolałby nieco samowolnie przesunąć przejście z jednej formy istnienia do innej aż do czasu, kiedy się będzie w możności samemu wyroki wydawać, kiedy nie będzie niebezpieczeństwa przyniesienia przez brutalność życia, by dziki ten rumak włókł na oślep, aż padnie się wreszcie gdziekolwiek nad drogą, pozostawiony litości innych.

Myśl o ostatnim spoczynku oddawna już sprawiała mu utajoną przyjemność. Z zadowoleniem, z jakim udaje się na wieczorny spoczynek podróży, z oczekiwaniami pełnem uczuciem, obudzenia się nazajutrz w nowej, nieznannej okolicy, i on ułożyć się pragnął na ostatni spoczynek, gotów do dalszej wędrówki, przy której wszystkie odpada balast i jedno tylko pozostaje: działanie. Dlaczegoż miałyby się mieć przy owem odrywaniu się od życia specjalnie szlachetne myśli? Czy nie polega wielkość owego zdarzenia już na tem samym, że wskutek niego wszystko inne wydaje się tak małeńkie? To, co ludzie czczą jako bogactwo, miłość, sławę; to, co uwielbiają jako potęgę i wielkość i radosnymi okrzykami witają, przy śmierci — czemuż to wszystko było wtedy? Przez wiatr żłobionym piaskiem nad pustem morskim wyrzeczem, przez które cicho kroczy człowiek, wszystkie te niezliczone żłobienia i żyły, bruzdy i pregi,

tę całą tysiąckrotnie popłatąną siatkę linii uświadamiając sobie w jednej tej myśli: tutaj wiał wiatr. Ach, jakże małą byłaby cała wielkość tego świata, gdybyśmy ją mierzyć mogli miarą własnego umierania! Cóż jest większego, nad życie ludzkie, gdy samo pojmie się jako takiel! Czemże jest świat dla człowieka uginającego się pod jarzmem własnego swego losu, jak nie szachownicą tylko, na której zmuszonym jest grę swą dokończyć! Poprzez jej przepych i niespokojne błyskania, poprzez dźwięki i grzmoty, przez góry i doliny kroczy, jak człowiek przez pręgi piasku nadmorskiego — zatopiony w sobie, pasując się z ciężarem bezpoczątkowego istnienia. Jako wiatr umie nadać pustej szacie rozmiary nadnaturalnej pełności, tak i ludzie rozdmuchują swe czyny. Wychwalają wzajemnie wielkość swych czynów, otaczają je obłokami kadzidel, ubóstwiają je, winszują ich sobie, by tylko nikt nie wątpił o wartości blichtru tego. I tak radują się i skarżą, ufają i obawiają się, zapominając przytem o najważniejszym: o własnym swym losie; zapominają o największej chwili, kiedy*to świat jeden sam siebie wchłaniając, sam siebie sądzi. Zapominają mówię, o umieraniu.

Zerwał się z leżącej swej pozycji i usiadł na brzegu łóżka podwinawszy nogę jedną — druga mu zwisała. Uczucie człowieczej samoodowiedzialności rozedrgało się w nim z siłą, która groziła zburzyć w nim wszystko. Na chwilę popadł w ciężką zadumę z której nie powstała żadna myśl sformułowana, jako nawskroś rozpalony ogień nie daje dymu. Gdy zaczął myśleć spokojnie, było pierwsze, co się w nim sformułowało, to:

Człowiek, w pospiechu wielkim, by cel osiągnąć, przez to, iż ciągle na zegarek patrzy, ile mu jeszcze czasu pozostało, opóźnia się tylko. Ostatecznie nie może uczynić nic innego, jak cel swój ostro mieć na oku i według sił spieszyć naprzód. Taksamo i człowiek, spoglądający ciągle na zegar życiowy, ile mu czasu jeszcze zbywać może, bezużytecznie się ociąga. Czas tylko marnuje i niczego nie dokona gdy nadejdzie chwila, kiedy fale stawania się nad nim się zbijają.

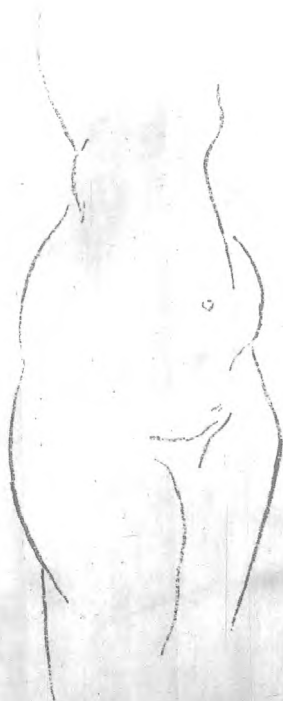
Śmierć nie jest przecież niczem innym jak przeżyciem w nowych warunkach. Gdy życie moje jest prawe, i śmierć moja prawą będzie. Gdy nieprawe było życie moje, będzie jedyną myślą w nędzy umierania: za późno! Przeto: Teraźniejszości trzymajmy się. W teraźniejszości kielkuje los, kształtuje się przyszłość. Teraźniejszość jest jedyną rzeczą, której panem jestem i co najważniejsze dla mnie: teraźniejszości nie dać zmiażdżyć przy zderzeniu się przeszłości z przyszłością. Człowiek, dający sobie odebrać teraźniejszość, szukający surogatu w otwartych miskach

przeszłości i zakrytych garnkach przyszłości, ten nie posiadał jądra i treści życia, ten żyje na kredyt.

Podniósł się. Czuł się znów rzeźki i elastyczny. Niewypowiedzianie pełne stanęło przed nim życie w obfitości zadań. Jakże mało dotąd zdziałał; jak nieskończenie wiele pracy miał jeszcze przed sobą! Ilekć tysięcy nici, przywiązujących go do życia, musiał jeszcze rozwiązać, rozciąć, rozgryźć i przemyśleć. Ilekć tysięcy nici takich, które same się tkają, gdy się uwagę odwróci od nich choć na chwilę. I miał-że prawo pytać się życia, co w teraźniejszości nosi w sobie niezmierny ciężar odpowiedzialności za całość: Pocóż to wszystko?! Nerozumne pytanie!

Odetchnął głęboko. Wyczerpany, wstrząśnięty wewnętrzzną pełnią opadł raz jeszcze na łóżko, jak człowiek, który po burzy szuka punktu oparcia. Potem pograżył się głęboko w ciche tonie buddhystycznego myślenia.

Z „NEUBUDDHISTISCHE ZEITSCHRIFT“ spolszczyła W. H.



FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

LITERATURA RUSKA
D.O KOŃCA XVIII WIEKUKRYTYCZNO-SYNTETYCZNY POGLĄD
NA JEJ ROZWÓJ I CHARAKTER.

(C. D.)

Wspomnieliśmy o tem mimochodem, gdyż istnienie bohaterskiego wielkorusyjskiego eposu natchnęło niewątpliwie czcicieli Rusi do odszukania takiego samego eposu na Rusi południowej, co tembardziej wydawało się potrzebnem, że śladów bylin, na podobieństwo Ołonieckich i in., na Rusi nie znaleziono. Trzeba ich było szukać sztucznie. W bylinach północnych wspomina się Włodzimira „Krasnoje solnyszko“, Dobrywia i inne wyłącznie kijowskie historyczne nazwiska, mówi się wyraźnie o tem, że

Podstupił k nam pod Kijew Car Batyj
Car Batyj, on-że Kajmanowicz, —

a Rusini niczem podobnem wykazać się nie mogli. Echo tych wypadków odbiło się na dalekiej północy, gdzie niepodobna dopuścić żadnego postronnego wpływu, a na Rusi kijowskiej, gdzie przeszło życie historyczne Rurykowiczów w wojnach z Carogrodem, Pieczyngami, Polowcami, Polakami, wreszcie między sobą — wypadki te nie odbiły się zupełnie w literaturze współczesnej ludowej. Patrzyli ruscy stali jeszcze wówczas na tak mocnem stanowisku wspólności z Rosją, zastrzegając sobie tylko tytuł „Małorusów“, że marzyli jedynie o szkołkach wiejskich, w których możnaby naukę elementarną wyklądać w języku „małoruskim“ i uprawiać niwę wyłącznie literacką z zakresu literatury nadobnej. O nauczaniu w szkołach średnich, a tembardziej wyższych w tym języku nikt jeszcze nie marzył.

Otóż z idei tej jedności i wspólności z Rosją Rusi historycznej zrodziły się poglądy na ten cykl poezji ludowej ruskiej, która zawierała w sobie znamiona historyczności. Usystemizowania tego cyklu podjęli się Antonowicz i Dragomanow w ten sposób, że wszystkie pieśni o historycznym charakterze podzielono na dwie kategorie. Jedną objęła pieśni o tronie wielkoksiążęcym, które skupiały się koło osoby księcia i jego wojska (drużyny); druga obejmowała okres walk Kozaczyzny z Tatarami, Turkami i Polakami. Pierwszą kategorię nazwano Eposem okresu Wielkoksiążęcogo, drugi Eposem kozackim. Pierwszy objął koladki i szczerdówki, drugi — Dumy kozackie. Nawiasem dodać muszę, że tak często używany w naszym języku wyraz dumka,

w języku ruskim oznacza myśl, ideę, ale w poezji ludowej zgola nieznany i jest wytworem literackim polskich pisarzy, którzy piosnkom ruskim o charakterze tęsknym i melancholijnym nadali nazwę dumek. Pierwszy raz użył tego wyrazu kronikarz Wieliczko, ale zastosował go do pieśni historycznych.

Zacznijmy od koladek i szczerdówek. Oczywiście, musimy uwzględnić przedewszystkiem główny temat, a nie poetyckie akcesoria i obrazowanie. Weźmy kilka wybitniejszych przykładów, a zatem: Rada wojskowa przed wyprawą wojenną. Wojsko radzi, ażeby sprowadzić sobie łodzie „miedziane“, wiosła „złote“ i udać się pod Carogród pod wodzą „dobrego pana“ — lub „krasnego pana“; w innem miejscu rada pragnie zbudować „łodzie złote“ i udać się wzdłuż Dunaju. Inne utwory wychwalają bogactwo „szczodrość pana“, podział zdobyczy po zdobyciu miasta. W jednej szczerdówce, malującej pojedynek z „turskim Carem“ występuje „Ruskiej korol“. W koladce, opisującej wyprawę na Węgry, występuje „pan Peremyślny“ (przemysłny, przebiegły, chytry). Niektóre koladki opisują swaty bojarские, gospodarstwo „bojarów“, ich bogactwo, ale śpiewają także o bojarach-zbójnikach. Oto najwybitniejsze tematy koladek i szczerdówek.

Autorowie Pieśni historycznych małoruskiego narodu wszystkie przytoczone przez nas tematy zaliczają do okresu Wielkoksiążęcogo. W radzie nad budową flotyli widzą wyprawę pod Carogród, w wojsku — ochotniczą drużynę kniaziewską, która otrzymuje w nagrodę „po pari sukow, ta po szapoczci, po żupanowi, po kitajewy“; przy podziale zdobyczy „dobry pan“:

Kotri lipazyi to sobi bere
Kotri hirazyi — służejkam daje.

Przy oblężeniu miast widzą reminiscencje wyprawy Świętosława Igorowicza do Grecji, kiedy zdobyte miasta ofiarują księciu „złoto i pawołoki“, a z pomiędzy różnych darów książę wybiera — oręż; w pojedynku z turskim Carem upatrują słynne „dużanie się“ z Rededią, chociaż nazwiska tego nie wymieniają; odpędzanie wrogów od wrót oblężonego grodu wydaje się im odparciem najazdów połowieckich od Kijowa, gdzie owe wrota są — Złotą bramą. Zabawa w Wołodara (Worotar), wśród której wspomina się imię Romana, naprowadza ich na myśl, że to musi być Roman Mścislowicz książę Halicki, który odpędza od niewiadomego miasta Jadzwingów. W wyprawie do Węgrów Peremyślnego, który na pytanie:

Szezo tam dobroho w Uhroch słuczaty?
odpowiada zwrotem poetyckim:

Dobre słyszano, bo już poorano,
Już poorano, złotom zasijano
Pawianym percem zawołoczono,
Złotym meczem² zaskorożeno —

widzą echo starych zatargów Rusi Halickiej z Węgrami i wizytę króla Daniela na Węgrzech (1252), w sędziach — tiunów z Prawdy Jarosławowej, w zwyczajach bojarskich — zwyczaje staro litewsko-ruskiego bojarstwa — dla czego nie Rurykowiczów?

Analogie faktów i zdarzeń, potrącone w koladkach i szczerdówkach, a dające się odszukać w życiu historycznem Rusi z okresu Rurykowiczów, nasunęły autorom Historycznych pieśni tezę o bardzo odległej starożytności tego rodzaju poezji i do poparcia jej odpowiedniami dowodami. W krótkości przytoczyliśmy dowody. Teza ta była uważana do tychczas za niewzruszalną z powodu niezaprzeczalnej prawdziwości przytoczonych faktów, mających popierać prawdziwość tezy. Ale przytoczenie samych faktów jest w tym wypadku nie wystarczające, gdyż fakty te nie wiążą się wcale z całością życia politycznego i ludowego. Wzięte w odosobnieniu miały one miejsce niezaprzeczenie, ale w koladkach i szczerdówkach nie są zgola odbiciem historycznem życia wielkoksiażęcego okresu, lecz wieków o wiele nam bliższych. Przedewszystkiem, jeżeli chodzi o pierwszych Rurykowiczów, to wiadomo, że „drużyny” ich, wojsko, za Włodzimiera i Jarosława, a zatem do połowy XII w. pochodziły „z zamorza”, były najemne, składały się z ludzi obcych, należałoby chyba w sagach skandynawskich szukać śladów wypadków, mających miejsce na Rusi Kijowskiej. Docierały te echa przez Nowogród i Psków do głębszej północy i pozostały aż do naszych czasów jako byliny — skazania, „starina”, „starinuszka” wcale nie przywiązane do pewnych świąt i uroczystości chrześcijańskich, jak koladki i szczerdówki. Ton historyczny opowiadań w bylinach ma charakter legendarny, o tem jacy to byli kiedyś w Kijowie ludzie i kniaziowie — „bogatyri — nie lwy” — jak mówił Lermontow o roku 1812, gdy w koladkach i szczerdówkach występują opowiadania faktyczne: rada, wyprawa, obłożenie, podział zdobyczy. Wszystko to osnute powagą rzeczywistości i zgola nie posiada cech bajki, fantastyczności. Widocznie jest tu mowa o wypadkach bliższych, ubranych w formę poetycką, okolicznościową, przygodną, przystosowaną do osoby żyjącej, z wyraźnym celem pozyskania jej względnie dla śpiewaka, który zwraca się do niej z powitaniem. Łuć na Rusi

za czasów Rurykowiczów — mówię o wiejskim ludzie — był przedmiotem wyszukiwaczy, odbierano od niego część zdobytej pracy jako „dań” w różnej formie, o resztę nie troszczono się; przywilejem cieszył się tylko lud miejski i to jedynie w Kijowie i kilku miastach. Ale ludność miejska na Rusi, ta która udział brała w życiu publicznem, zniszczoną została przez mongolskie najazdy najprzód, potem przez Mengli-girejowe, a lud wiejski, jak zawsze, dla chwały wielkoksiażęcej bywa bardzo obojętny. Mogli o niej opowiadać szeroko bojarowie, którzy zdolali umknąć od pogromów, którzy udział w tej chwale brali, ale nie lud — milczący dannik, wyszukiwany przez księcia i jego bojarów. Z tych może przyczyn nie zachowało się na Rusi Kijowskiej żadnych bylin, opowiadań o „starinuszkie”.

Autorowie systemizacji Pieśni historycznych stworzyli sobie sztucznie Epos bohaterski wielkoksiażęcego okresu, przesunawszy fakty rzeczywiste o sześć wieków wstecz.

Rzeczywiście koladki i szczerdówki mogą sięgać najwcześniejszego końca XV i początku XVI w., a ciągnąć się w reminiscencjach do faktów, opartych na Durojach kozackiego okresu, z tą różnicą, że jak Dumy były upoetyzowaniem faktów rzeczywistych, tak koladki i szczerdówki mogły być reminiscencją książkową lub tradycją faktów z okresu wcześniejszego życia kozackiego, przystosowaną do celów wyjątkowych, ubranych w alegorje i porównania poetycko-przesądnej chwały.

Jaką drogą one powstać mogły i kiedy?

Do połowy XVII w. żaden pisarz współczesny nie wspomniał o zwyczaju kolendowania i szczerdowania. Nic podobnego nie nasuwa się naszej pamięci. Jako o zwyczaju niezwykłym na Rusi, oświadczył co do formy śpiewów, ktoś byłby jednak o nich wspominał, kto się z ludem stykał. Nie znajdujemy wszakże żadnej wzmianki o tem ani u Michalona Litwina, ani u Bennpleusza, który dużo miejsca poświęcił opisowi zwyczajów, ani w relacjach kardynałów stolicy apostołskiej, ani u Wereszczyńskiego, który znał Ruś dobrze. Być może, że były one jeszcze rzadkością, a nie powszechnie spisane jak do niedawna.

Zdaje się, że nie pomyliły się bardzo jeśli powstanie ich odniesimy do chwili założenia w Kijowie szkół i kolegów ruskich, jakoteż burs dla młodzieży.

Usiłowano związać kolendy i szczerdówki z tak zwanymi „sławosłowijem kniaziom”, którego temat, w odmiennej nieco formie, powtarza się i w Dumach. Owo „sławosłowije” było pewnego rodzaju powitaniem i pochwałą kniaziów. Typ jego

znajduje się w słynnym poemacie, pisanym rytmiczną prozą i przez nowszych wydawców na bezmyślowy wiersz ułożonym — Słowio o pułku Igora, brzmi:

Sława Igorin Światosławlicza
Buj — turu Waiwolodie
Włodimiru Igorowleczu

Zdrowi kniazi i družyna
Kniaziom sławu i družynie.

Znawcy odnoszą ten poemat, pisany w języku cerkiewno-słowiańskim, piśmiennym, do XVI w., inni jak Busłaju do XIV. Być może w tym czasie spisano poemat z ust ludu, gdyż oprócz egzemplarzy znanego wydawcy Musin-Puszkina, znaną jest także kopia znaleziona w papierach Katarzyny II.

Ale ustępy powitalne nie są niczem innym jak tylko formułą używaną w pewnych uroczystych stosunkach, znaną od dawna. Powtarzają się te formuły w przestworze kilku wieków w odniesieniu do osób, do narodu, do kraju nawet, na nich więc nie można oprzeć zbyt odległej starożytności koladek i szczedrówek. Genezy ich trzeba szukać w innej stronie, gdyż zbyt dalekie i chwiejne zbliżenia zawierają w sobie za dużo dowolności.

Zanim szkoła bracka, a późniejsza Akademia, niegdyś Mohylańska, uposażoną została w stałe fundusze, przeznaczone na jej utrzymanie, co nastąpiło dopiero w końcu XVII w., utrzymywała się ona w znacznej mierze z funduszy prywatnych i datków. Uczniowie tej Akademii, z wyjątkiem bardzo nielicznych, którzy mogli bez obcej pomocy materialnej odbywać naukę aż do ukończenia, znaczna większość „spudejów” Akademii składała się z młodzieży bardzo ubogiej, wśród której gorąca żądza wiedzy górowała po nad wszelkimi materialnymi potrzebami życia. A była to nieraz, jak zawsze bywa, najzdolniejsza młodzież. Akademia dostarczała jej bardzo szczupłych środków utrzymania. Trzeba było szukać ich po za szkołą. Zbieraniami jałmużny w różnej formie zajmowały się wprawdzie t. z. k o n g r e g a c j e, ale wystarczała ona zaledwie na wyżywienie „spudejów”, mieszczących w bursie szkolnej. Ci, którzy po za szkołą mieszkali, skazani na nędzę i głód, sami musieli dbać o żywność. Chęć wiedzy zwyciężała nieraz głód, ale długoletnia nędza zmuszała niejednego do opuszczenia przedwczesnego szkoły, do „djakowania” po wsiach, do wyświećcania się na popów lub wędrowania od wsi do wsi za datkami i jałmużną. Była to młodzież, która już nieraz poetykę i retorykę przeszła, a niekiedy o filozofię zawadziła, była już przeto dobrze obznajmioną z Synopsicem, z historią książąt kijowskich. Jako synowie popów, djaków, mieszczan z różnych stron, a nieraz i włościan, gdzieś mieli się

udawać po pomoc, jak nie do tej sfery, z której sami wyszli, którą dobrze znali i znali dobrze drogi i środki jakimi do niej trafić mogli? Wielkie ułatwienie mieli w tem, że mogli odzywać się do niej jej własnym językiem.

Wiedzano o tem dobrze, że człowiek najhojniejszym bywa wówczas gdy ma chwilę zadowolenia, spokoju, gdy się znajduje w gronie najbliższych sobie osób, opanowany pewnem moralnem wzruszeniem. Taką chwilą dla ludu wiejskiego na Rusi bywają zwykle święta Bożego Narodzenia aż do Nowego roku (bohatyj wieczir). Wówczas to gromady szkolnych „spudejów” udawały się na wieś, stały wieczorem pod oknami chat wiejskich i prosiły o jałmużnę — „kusnyczek sala, kilce kowbaski”. Uroczysty wieczór, uroczysty nastrój całego domu gospodarza, nakazywały trafiać w ten ton rodzinny, aby ją tem pewnie zjednać dla siebie. Najbardziej odpowiadała uroczystemu nastrójowi chwili pieśń powitalna z pochwałą gospodarza i z recitativem poważnego wypadku, ubranego w formę archaiczną, ozdobionego całym zasobem młodzieńczej wyobraźni. Nieraz w tych na polu śpiewach, na polu opowiadaniach nasuwały się im tematy, zapamiętane z historii szkolnej, z opowiadań ojców lub dziadów, które w poetyckiej szacie wygłaszano w obec zaciekawionych i chętnych słuchaczy. Śpiewy te bywały tem miłsze dla słuchaczy, że niejeden w tem lub innem zdarzeniu brał udział osobiście sam, jego rodzina lub krewni. Otwierały się przeto szczodre dłonie gospodarzy. Tak się działo wśród ludu wiejskiego, do którego można było przemawiać w jego ojczystym języku. Inni, starsi może, mniej tylko „uczeñsi” układali „kanty” i życzenia rymowane — „wirszi” — w języku piśmiennym i udawali się wprost z niemi do wybitniejszych obywateli. Niektórzy, zakosztowawszy słodczy wiejskiego życia, tęsknili do niego wśród głodowania i rymami słodczy tego życia opisywali:

— — — Lubczno seło!

Kohda uwiżu twoi słodczajazyi strawy —
Kapustu, horach, riepui, bob w sali warenyj
O weczeri szczaalywii! O, noczi blażeny!

Taka włóczęga, rozpoczęta z głodu, nieraz stała się nalogiem życia, przyzwyczajano się do niej. Z łona takich „spudejów” wychodzili nie tylko śpiewacy koladek i szczedrówek, ale i piewcy dum kozackich, którzy z bandurą przez ramię jechali z atamanami na czele watahy jako śpiewacy bohaterskich czynów kozackich.

Koladki i szczedrówki były niczem innym jak wierszem powitalnym dla gospodarza, „w wyższym stylu” — jakbyśmy powiedzieli. Formą tylko, nastrój i tonem historyczności różniły się one od



rymowanych prośb o jałmużnę, „wirszów“, wygłaszanych przy odmiennych okolicznościach np.

Ja małenka dziewczeczka
Jak u polu kwitoczka,
Bilaz niczoho ne znaju
Tyłki az da buki —

Pożałujcie memi hróczyk w ruki!

Albo w tym rodzaju:

Ja małyj pacholok
Rodywcia wi Wtorok

Oczy protyraj,
Na korman pozyraj,

Was z prazykom pozdorowaj!

Tak więc — reminiscencje historyczne, jakie w koladkach i szczedrówkach napotkać można, a które dadzą się nagiąć do jakiegoś faktu z okresu Rurycowiczów na Rusi, mogą być rezultatem szkolnej nauki wędrownych „spudajów“, którzy popisywali się nią po prostu przed ciemnym ludem, barwiąc swoje śpiewy zwrotami poetyckimi i osobistą fantazją — jak to widzieliśmy na kilku przykładach. Uważamy to za możliwe, ale nie za jedyne źródło zgola, z którego wypłynąć miały koladki i szczedrówki. Źródło to było o wiele bliżej ludu niż okres drużyn kniaziewskich — to tworzenie się kozaczyzny, jako organizacji wojskowej, nie mającej wcale tego „chrześcijańskiego“ charakteru jaki jej przypisują pisarze nasi — na słowo biorąc, zakonną wrzekomo organizację Siczcy zaporowskiej. Były to watahy rabownicze, organizujące się w okolicach mało zaludnionych, w niedostępnych „łuhach“, stepach, lasach, których słabo rozwinięta administracja i policja państwowa nie mogła łatwo wytropić, watahę rozegnać i wyprowadzić zaporowskiej przeszłości. Ośmielone powodzeniem łączyły się one w większe oddziały wojskowe i robiły zbrojne najazdy na Oczaków, Białogród, Kilję, aż pod Carogród zapędzając się, paląc, rabując nie tylko północne pobrzeża morza Czarnego, ale i na południowym dosięgali Trebizondy i Synopy. Lecz nie w tym jedynie kierunku zapędziły się watahy ochotników, którzy się później nazwali po tatarsku „kozakami“.

Nie zadawalniali się oni zgola rabowaniem pobrzeży tureckich, lecz chadzali —

Na try dorozj, ta u try zemli —

oprócz Turcji i najbliższych sobie Tatarów, nawiedzali także „nimeckuju zemlu“ i „wołoskuju“. Taki watażka kozacki chodził wyłącznie dla rabunku —

z Wołoszczyny jde — wołyky nese,
z Nimeczyny jde — hroszyky nese,
z Tureczyny jde — konyky wede.

Nie dla wojny zatem w znaczeniu państwowym chadzali kozacy „u try zemli“. Wiemy, że Pretficz

odpędzał od granic Rzeczy Tatarskiej — „kozakował“ — kozackim zwyczajem napadając ich i stada koni odbierał, ale miało to na celu pozbawić Tatarów i Turków, wynajmujących konie dla rabunku, środków do walki, — tak samo jak w wojnie regularnej jedna strona zabiera drugiej działa, broń, amunicję; ale kozacy dzielili się zrabowanym dobytkiem, a rzadko który nie przedpadł i nie przehułał swojej części.

Zdaje się, że będziemy o wiele bliżej prawdy, jeżeli po za hipotezę książkowych tematów wędrownych „bursaków“ poszukamy odpowiedzi na genezę koladek i szczedrówek w realnych zdarzeniach kozaczyzny, rosnącej szybko w awanturniczą militarną organizację. Weźmy kilka przykładów. Wycieczki rabownicze na pobrzeża morza Czarnego, a więc do Turcji, rozpoczęły się bardzo wczesnie, bo już w pierwszej ćwierci XVI wieku. Co ważniejsze, wycieczki te były połączone z obroną granic państwa polskiego, a na czele ich stawali starostowie pograniczni, którzy z ochotnikami zwerbowanymi, włączającymi się po stepach, robili dalekie wyprawy na utusy tatarskie i miasta tureckie. Tu cele państwowe nie dały się odłączyć od rabunku, bo to była zapłata ochotników. „Dobry pan“, zgromadziwszy taką watahę, zbierał Radę z tych, którzy stepy znali, a po szczęśliwym powrocie — dzielił zdobycz. Nie zawsze, a raczej rzadko, taka wyprawa odbywała się z wiedzą i pod przewodnictwem „dobrego pana“, częściej bez niego, ale pod hasłem walki z „niewiernymi“. Kozakom kniazia Dymitra (Wiszniewieckiego) dostawało się z podziału „szuby bruszczate belinowe“, błamy lisie „nożczate“ (z łapek), „sukno ćwikolskie“ (szkarłatne), kamienie drogocenne, perły, „pugwice złote“. To co miało być obroną państwa, że pokierowane, stało się szkołą swawoli kozackiej. Tego rodzaju wypraw była nieskończona mnogość; każdy watażka na własną rękę kozakował i był tym „dobrym panem“, który hojnie wynagradzał „służęjki“, a skupiał obietnicami hojności. Nie jeden wracał szczęśliwie, siadał na roli, stawał się gospodarzem, a wzbogacony i otoczony nimbem żołnierskiego bohaterstwa, stawał się przedmiotem pochwał wędrownych żaków, układających pieśni na jego cześć. Twórczość ludowa nie sięga w daleką przeszłość; ona tylko przetwarza po swojemu realne tematy. Wędrowny śpiewak rzadko znał pierwotną historię Rusi, z której mógłby zaczerpnąć temat o kniazach, drużynie, wyprawie, podziale zdobyczy, ale temat taki nastroczała mu rzeczywistość, o której ciągle słyszał, a uczestników znał również. Każda wycieczka kozacka rozpoczynała się od n a r a d, była „drużyna dobrego pana“, a po powrocie dzieliła zdobycz

Czasy Nalewayki i Łobody nastroczały mnóstwo materiału do analogii bliższych i prawdziwych niż cofanie się do X i XI wieku bez żadnego umotywowania. Nalewayko, szukając „chleba kozackiego”, chadzał „na try szlachy”: z Łobodą do Wołach, gdzie szczęścia doznał; w ziemi tureckiej był pod Tehinią, Kilję, Białogród zdobył; za „pisaniami Cesarza”, chodził do cesarskiej ziemi, z „chęci rycerskiej”, jak się wyrażał. Wzięliśmy przykład, że tak powiem klasyczny, ale możnaby, nie sięgając do X wieku, wiele takich naliczyć.

Jak dzisiejsze rady wojenne są koniecznością, tak samo były one koniecznością zawsze, kozaków nie wykluczając. Autorowie systemizacji koladek i szczerdówek zatrzymali się uporczywie na wieloksiężącym okresie Rusi i wszelkich analogii, bez poparcia, tam tylko szukali. Na radzie widzieli tylko wielkiego księcia kijowskiego i jego drużynę, ale przecież rad kozackich, znanych nam historycznie, było bardzo wiele i łatwiej jest przypuścić, że pieśń ludowa mówiła o watażkach, ich drużynie i podziale zdobyczy między siebie niż sięgać w daleką starożytność, w której, przesuwając się przez trzy wieki prawie fala ludowa śladów rzeczywistych w poezji nie zachowała, gdy zwany przez autorów systemizacji Bohaterski epos kozacki, o którym zaraz mówić będziemy, walki z Tatarami, Turkami, Polakami, jako też wyprawy różne zatrzymały się w poetyckiej pamięci aż dotychczas. Z tym okresem wiąza się bezpośrednio koladki i szczerdówki, będąc niejako wstępem do dum kozackich. Co do rad, były one zbyt liczne, ażeby je wyliczać. Zwolrywali je Koziański, Nalewayko, Żinajło, Pawluk, Skidan, Chmielnicki, Wytrowski, wreszcie Piotr Doroszenko, który najwięcej ze wszystkich „radził się” do jakiego „pana” kozacy przystać mają, ale o Moskwie sam decydował. Słynna rada w Porejesławiu uchwaliła poddać się „wostoczemu Carowi”; pod Korsumem, pod Kaniwem, na Uzieniu głośnie były narady.

Oprócz klasycznego przykładu wypraw Nalewayki „na try szlachy”, chadzali na Wołoszczyznę różni — Wody i Świrzewscy, a w „ziemi cesarskiej” głośno bursowali Lisowczycy, których większość składała się z kozackich aczajduszów.

Tak więc — w koladkach i szczerdówkach trzeba szukać kozackich reminiscencji, ubranych w formę poetycką przez wędrownych „spudżów”, ale żadną miarą nie z okresu przeróżnych Rurykowiczów.

Najbardziej zajaśniała twórczość ludowa ruska, znana pod formą dum — rapsodów, wygłaszanych recitativem o wypadkach i życiu, objętych nieco

więcej może niż jednym stuleciem, od połowy XVI do połowy XVII-go wieku. Był to okres rozwoju najwyższego Kozaczyzny i walk z Tatarami i Polakami. Spisywać je poczęto dopiero w XIX stuleciu, a w wiadomym dziesiątku tego wieku już wszystko, co pamięć ludowa przechowała, spisaniem zostało. Dumy śpiewane bywały zawsze w tonie uroczystym, przed publicznością poważną, a taki śpiewak, zwany bandurzystą nie byle przed kim się popisował. Do śpiewu wtórował sobie na instrumencie podobnym do gitary, zwanym bandurą lub kobzą i nie miał nic wspólnego z tak zwanymi lirnikami. Byli to także śpiewacy ludowi, ale repertuar ich składał się przeważnie z pieśni religijnych, nabożnych, które wyśpiewywali przed cerkwią, na drogach pod krzyżem. Mieli oni także repertuar pieśni tanecznych, a nieraz pijackich i grywali po karczmach dla zabawy. Lira w pojęciu ludowym była rodzajem skrzypiec o smyczku okrągłym, obracanym korbą. Na takiej lirze Matryko kazał przygrywać swemu Wernyhorze, co było błędem wobec folkloru, bo lirnik jest rzemieślnikiem, grajkiem karczemnym, a bandurzysta poetą, opowiadającym bohaterskie czyny i zdarzenia, a nawet malującym przeszłe życie kozaczyzny.

Zanim jednak przejdziemy do dum, słówko powiemy o pieśniach niewątpliwie historycznych, które budową swoją, podobną do współczesnej pieśni ludowej, i charakterem różnią się od dum. Pieśni te doszły do nas już jako urywki i szczątki zwyczajów obrzędowych bardzo dalekiej przeszłości (Worotar, Żuryło, obrzędy wiosenne, ognie świętojańskie i in.). Weszły one bądź do obrzędów ślubnych, bądź do kategorii zabaw ludowych, ale pod względem treści i związku z przeszłością nie zostały dotychczas dostatecznie objaśnione i ujęte w pewną całość, dającą pojęcie o życiu ludu w okresie bardzo wczesnej historyczności. Zaznaczyć tylko należy bogactwo i różnorodność szczątków, które do nas doszły.

Wogóle życie ludu ruskiego znalazło w twórczości jego odbicie tak wielkie jak u żadnego innego szczepu słowiańskiego, z wyjątkiem wielkorosyjskiego i serbskiego. Późne wejście na arenę dziejową obu tych szczepów, pozwoliło im dłużej od innych zachować własną samodzielność życia, co było tem łatwiejsze, że stykały się z plemionami obcego szczepu niższej od nich kultury umysłowej. Zachodnie szczepy odwrotnie — stykały się z kulturą łacińską, a w walce z silniejszym plemieniem germańskim ulegały jego naciskowi, a w ten sposób więcej od wschodnich i północnych szczepów zatracaly indywidualizm swego życia ludowego. Kościół ze swej strony, w imię czystości religii chrześcijańskiej, tępił tak zwane zabobony nader wytrwale. Wszystko to nie tylko nie

mogło pozostać bez wpływu na twórczość ludową, ale starodawną jego twórczość zacierało powoli. Tylko wielkie wypadki dziejowe pozostawiły swoje ślady. Lud ruski, żyjąc życiem własnym wewnętrznym, mało ulegał wpływom obcego otoczenia, dłużej przeto mógł zachować swoją samodzielność tworzącą i własną poetycką historję.

Zetknięcie się z Tatarami i Turkami, a później walki Kozaczyzny z Rzptą polską, stały się ogromną podniętą dla twórczości ludowej. O ile z Turkami występowały do walki mniej lub więcej zorganizowane oddziały, a bohaterskich czynów w pojęciu ludowym dokonywali watażkowie lub jednostki, na szczególnie przejścia narażone, o tyle ludność wiejska wobec najazdów tatarskich bywała często zupełnie bezbronna, zważywszy, że te najazdy odbywały się niespodzianie i bardzo często nocą. Zanim przeto opór regularny mógł być zorganizowany, już Tatarzy dopuszczali się rabunku, morderstwa i z licznym jasyrem wymykali się — rzadko bezkarnie. Nic przeto dziwnego, że najazdy Tatarów pozostawiły w twórczości ludowej głęboko wkorzenione ślady. Dotykały one przedewszystkiem życia rodzinnego ludu i rozrywano małżeństwa, palono wsie, zabierano dzieci. To też we wszystkich szczątkach poetyckich z tego okresu pozostało piętno rzewnego smutku, odzianego nieraz w piękną formę poetycką. Troskliwa o los swego kochanka dziewczyna śpiewa:

A wżęz misiać na horamy,
A Tatary w poli, —
Ne świty im misiaćeńku,
Ni teper, nikoli.

Najazd Tatarów maluje poeta krwawemi słowami:

Hej, wytoptała orda kińmy mańenkyi dity...
Oj mańenki wytoptała, wetykich zabrała,
Nazad ruki postiahała, przed chana pohnała.

Dla przykładu weźmy jeszcze pieśń o zniszczeniu wsi przez Tatarów.

Za riczkoju wohni horiat,
Tam Tatary polon dilat
Selo nasze popałyły
I bohatstwo rozhrabyły,
Staru nońku zarubaly,
A myleńku w polon wziały.
A w dołyni bubny hudut',
Bo na zariz ludej wedut',
Kolo azyi arkan wjet'sia,
A po nohach lańcuch bjet'sia
A ja bidnyj z ditocz kami
Pidu lisom steżecz kami,
Nechej jomu i z wodoju!
Oś — oś czajka nadomnoju...

Ostatnie dwa wiersze są aluzją do zanurzania się w wodzie, jako sposobu chowania się od nie-

przyjaciela, o czym już cesarz Maurycy († 602) wspomina. Czajka, która zwykle lata nad tak ukrytym zbiegiem, zdradza jego obecność; za bezpieczniejsze przeto uważano ukazywanie się w lasach, tem bardziej, że można było ukryć się z rodziną całą i dobytkiem.

Równie poetyckimi słowy ujmuje pieśń ludowa tragiczny moment spędzania jasyru przez Tatarów, rozłączenie dzieci z rodzicami, a osobliwie niewolę kobiet, zmuszonych do życia nie tylko w niewoli, ale w obcej dla siebie rodzinie. Wogóle w twórczości ludu ruskiego leży nie zużytkowany, przez ubogą literaturę ruską dramatyczną dotychczas olbrzymi materiał poetycki.

Taką samą zaokrągloną całość historyczną przedstawiają pieśni o walkach Kozaczyzny z Turkami i Polakami. Całość ta nosi ten typiczny charakter, który znany jest pod nazwą eposu kozackiego czyli D u m. Scharakteryzowaliśmy je pokrótce. Cykl ten, jednolity pod względem charakteru, rozpada się na dwie części, zupełnie odrębne pod względem treści: dumy, odnoszące się do walk i stosunków z Turkami i Tatarami odznaczają się większym bogactwem poetyckiem i większą rozmaitością tematów niż Dumy, mające za przedmiot walki z Polakami. Odpędzanie od granic Rzptej Tatarów, a względnie Turków, którzy wynajmem koni Tatarom na wycieczki, ułatwiali najazdy, rozpoczęte prawie przez starostę Chmielnickiego, Przesława Lanckorońskiego (1516—1528), z którego historycy kozaczyzny zrobili swego hetmana, potem Dymitra Wiszniowieckiego starostę Czerkaskiego (r. 1550), wreszcie Pretficza starostę Barskiego w tym samym czasie, pociągnęło za sobą ludność próżniaczą, kozakującą, chętną przygód wojennych. Wyprawy te odbywały się przez Dzikie pola, stepy, zamieszkałe tylko przez dzikie zwierzęta — niedźwiedzie, suhaki, tabuny koni, błądzących w trawie, nad którymi unosiły się orły, kwiliły czajki i sokoly; natura, otaczająca te orszaki na polu rycerskim, na polu rabowniczym, — i wszystko dokoła nich podniecało twórczość. Pod bezpośrednim wpływem tego otoczenia i wypadków powstawały poematy, nazwane d u m a m i.

Autorowie systematyki ruskich pieśni historycznych wiele dowolności dopuszczają się w interpretacji Dum tak samo jak dopuszczali się w koladkach i szcedrówkach, doszukując się w poezji faktów rzeczywistych, a raczej znanych historycznie. Tymczasem podniętą twórczości nie zawsze bywał taki fakt, a jeszcze rzadziej równoległość jego w poezji da się odszukać. Są jednak Dumy opiewające zdarzenia rzeczywiste, ozdobione tylko podnieconą wyobraźnią, przejawieniem faktu historycznego

i nadaniem mu charakteru specyficznie kozackiego, jak Duma o Dymitrze Wiszniowieckim (Bajda), najazd Świerczowskiego na Wołoszczyznę, a nawet analogie do pobytu na Siczy Samuela Zborowskiego.

Tematy Dum z okresu walki z Turkami i Tatarami Kozaczyzny są rzadko urozmaicone i bogate w pierwiastek dramatyczny. Malują one nie tylko wspólczesne życie kozackie, ale przeważnie najazdy na miasta tureckie (Warna), wycieczki na Krym, przygody w czasie wyprawy (Burza na Czarnym morzu), ucieczka z niewoli, śmierć kozaka. Nie brak także dum, poświęconych wyłącznie kobiecie, jak wykup siostry z niewoli przez brata, sprzedaż siostry przez brata Turczynowi, sprzedaż córki przez ojca, porwanie dziewczyny przez Turka i inne. Kobieta wogóle występuje często w roli bohaterki poematu, jak dziewczyna żołnierza, wzięta w niewolę przez Tatarzyna, samobójstwo dziewczyny, ażeby nie zostać żoną Turka, dziewczyna wyzwalająca kozaków z niewoli tureckiej (Marusia Bohusławka).

Niektóre z dum owiane są czarem poezji stepowej pełnej grozy, jak np. Ucieczka trzech braci z niewoli tatarskiej i śmierć. Kilka wierszy przytoczymy dla przykładu dla poznania charakteru tej poezji. Najmłodszy brat powiada:

Kohdab memi Bohdan na nohy kozackii wsały,
Semi piadennuju pieszczal pidniaty
I orłam szokrylym kulu na podarunek podarowaty.

I todi menszyj brat na Sawur — mohyłu schożaje
Holowu schylaje,
Bat'kowu, matczynu mołytwu spomynaje
I Bohu duszu oddaje.
Tojdi syzi sozuli nalitały
U holowach siadały
I tak jak ridni sestry kukowały;
Tojdi orły szokryły nalitały,
Na kudri nastupały
Z łoba oczy wydryały.
I wowlky syromanci nabihaly,
Kosti po bajrakach, po melusach roznożaly.

Dodać przytem muszę, że zdołano uratować po kilka warjantów dum o tym samym temacie.

Co do dum z okresu walki kozaków z Rząpą polską, tworzą one cykl zupełnie odrębny i obejmują prawie wyłącznie wojny Chmielnickiego, tak że mnie się zdaje, jakby były utworem tego samego poety. Wydaje się ta hipoteza o tyle prawdopodobna, że cykl ten rozpoczyna się znanem odebraniem od Barabasza przez Chmielnickiego listu Władysława IV. i wybuchem buntu, a kończy się śmiercią Czechryńskiego hetmana i obiorom na urząd kozackiego hetmaństwa syna jego Juryszka. Jest to tak dalece uderzające, że od śmierci Chmielnickiego nie ma ani jednej dumy, poświęconej temu krwawemu bohaterowi.

Nazwisko tego wielkiego poety ludowego nie jest znane. Z treści dum, według ich chronologicznego porządku widać, że był to człowiek nie tylko współczesny Chmielnickiemu, ale może towarzysz jego wypraw i człowiek bardzo bliski dworu Czechryńskiego i tego nastroju politycznego, jaki tam panował. Niekiedy historycznie da się udowodnić obecność tego piewcy czynów Chmielnickiego w obozie, jak w dumie o Chmielnickim i Barabaszu, o bitwie pod Żółtymi wodami, Oblężenie Zbaraża, Bitwa pod Beresteczkiem, Wyprawa Tymoszka na Wołoszczyznę. Cykl ten obejmuje nie tylko dumy o Chmielnickim, ale i o jego wybitniejszych współtowarzyszach — Krzywonosie, Bohunie, Neczaju. Ten, jakbym powiedział, mniemany nadworny poeta Czechryńskiego hetmana, przedstawia w świetle nader jaskrawem różne bajania obozowe, które się stały z czasem, wbrew prawdzie historycznej, osnową do skarg i żalów późniejszych historyków o prześladowaniu Ukrainy. Utożsamiono lud ruski z Kozaczyzną co do celów i polityki — niesłusznie, bo lud stał się narzędziem ambitnych celów hetmanów kozackich, został przez nich pociągnięty w wir długoletnich wojen i duchem anarchizmu kozackiego zarażony na długie wieki. Historycy ruscy, idąc za duchem śpiewaków dum, „przewrócili historję do góry nogami” — jak się wyraził historyk ruski P. Kulisz.

Ów tedy nieznaną poetę chwalił bohaterskie czyny Bohuna i Krzywonosy (Perebijnis) i opowiadał niestworzone rzeczy o prześladowaniu ludu przez szlachtę i wydzierżawianiu cerkwi żydom. Były to tematy dla poety nader ponętne i dostarczające jaskrawych barw obrazom, ale zbyt uogólnione, nabierały znaczenia fałszywej złośliwości, wysnute z pojedynczych a nieprawdziwych faktów. Stały się one, dzięki polityce Rosji przestrzegania traktowania historii tylko ze stanowiska tej polityki, komunałami historycznymi, tem chętniej powtarzanymi, że posiadały jaskrawość prawdy. Poeta podnosił ujemne strony życia z punktu widzenia kozackiego, a przemilczał faktyczne położenie materialne ludu wiejskiego prawie zawsze tak dobre, tak obfite jak może nigdzie już w całej zachodniej Europie.

Nie będziemy streszczać tych dum. To tylko powiedzieć należy, że odznaczają się one temi samymi pięknościami poetyckimi, co i dumy z okresu tatarsko-tureckiego, ale równocześnie dziłą nienawiścią do wrogów i wybuchami złości nad pokonanym nieprzyjacielem. W dumie o Żółtych wodach piewca cieszy się, „że ne odyn Lach leżył”, wysszeriwszy zuby”. Po zdobyciu Połonnego, do krwawej zemsty nad bezbronnymi zachęca poeta:



Drzeworyt oryg. — Jerzy Kulewicz.

Pyjte, hulajte!

Koło szjidiw-randariw sobi zdobu horoszu majte!

Upiwszy się krwią —

Oczartom widaly

Srebro i złato na try czaści pajowali:

Perwuju czaśt' na Pokrowu Siczowuju

Da na Spasa Meżyhorakoho oddaly,

Druhu czaśt' na medu, da na okowytii horihi propywały,

Tret'ju czaśt' meżdo soboju kozakami pajowały.

Tohdi to ne odyn kozak za pana hetmana Chmielnickoho Boha
prosyw

Szcze ne odyn szjidiwskij żupan znosyw.

W tej samej dumie piewca cieszy się, że

W szkoli budut' kozaki na akrebeny swyni zahaniaty.

Rozhukana dzikość, pełna nienawiści, dumy tego okresu stoi niżej pod względem artystycznego traktowania tematu od dum tatarsko-tureckich.

Pierwsze zapoznanie się z dumami wogóle publiczności czytającej narobiło dużo hałasu w literaturze rosyjskiej. Uważano je za byliny pewnego rodzaju, a fałszywa miłość własna pisarzy ruskich, piszących po rosyjsku, pragnąc powiększyć jeszcze dobroć poetycki przeszłości, poczęła ogłaszać fabrykaty sztuczne, naśladowując ton i charakter dum.

Wogóle, w połowie prawie XIX w., z chwilą wyższego zainteresowania się niepiśmienną literaturą ludową i zapoznawania się z nią, rozpoczęło się na wielką skalę fałszowanie wszelkich pieśni historycznych. Rozpoczęli tę robotę wielcy miłośnicy poezji ludowej ruskiej, jako gente Rutheni, nazione Mosehi, pisujący zatem po rosyjsku, Srezniewski i Maksymowicz. Spozstrzegłszy, że brak dum, które możnaby przystosować do XVI w., to jest do początków Kozaczyny i w ten sposób utworzyć łączność ideową z walkami Chmielnickiego, poczęli uzupełniać ten brak. Srezniewskij poczęł fabrykować takie dumy i ogłaszać je, jako prawdziwe, w Zaporozskaia Starina, a Maksymowicz, profesor kijowskiego uniwersytetu, z fachu botanik, lecz wykładający historię, w swoim Sterniku (1834).

W ten sposób z natchnienia Srezniewskiego powstała дума o Śmierci Bohdanka (Różyński?), o Darach Stefana Batorego Kozakom — według słynnego fałszykatu dokumentu pseudokoniskiego, a Maksymowicz takie same dumy nie tylko drukował, lecz pozostawił także w rękopisie, w swojej spuściźnie literackiej, jak trzy dumy o bitwie Żwanieckiej. Niektóre, jak Wyprawa na Żółte wody drukował w Užynok widnopolu.

Nienawiść do Polaków, tak wytrwale pielęgnowana przez szkołę i politykę rosyjską do wykopania coraz głębszego przedziału między Rusią a Polską,

stworzyła cały szereg historyków, etnografów, poetów, którzy z tego źródła czerpali swoje natchnienie, upatrując w nim jeden z licznych sposobów zwrócenia uwagi rządu rosyjskiego na swoją prawowierność polityczną — godną awansów i nagród. Urzędownie uchodzili oni za Rosjan, w cichości bawili się poezją ruską, pisywali pod pseudonimami licze wiersze po rusku, a spotkawszy się ze sobą mawiali: „ja tożę Małoross“.

Niektórzy z takich amatorów sięgali w starożytność pogańską, jak Szyszackij-Ilicz, a wtedy powstawały pod natchnieniem piórem pieśni historyczne, w rodzaju bylin, jak o pochodzie pierwszych Rurkowiczów pod Carogród i o słynnym, acz nieznanym w mitologii słowiańskiej bogu Poświstaczu — o czym poprzednio była już wzmianka.

Fałszerstwo nie długo dało się ukryć. Autografy dum znalazły się w papierach pośmiertnych Maksymowicza i Martynowa; przedtem jeszcze Kostomarov (Wiestniw Europy 1874.) wykazał fałszerstwo, a Weselowski zwrócił uwagę na to, że Legenda o Złotych wrotach, wydrukowana przez Kulisa w Zapiskach o Jużnoj Rusi nie ma żadnego znaczenia ani historycznego, ani też rosyjskiego charakteru nie posiada.

Liczne bardzo fałszyfikaty nie osłabiły wcale ani piękności, ani charakteru, ani wielkiego historycznego znaczenia prawdziwych dum, podkreślając bez potrzeby, dla przypodobania się Moskwie, te cechy społecznego zatargu, jakeimi odznaczają się dumy z okresu walk Chmielnickiego, które nie są oparte na faktach, mających ogólniejsze znaczenie, ale raczej muszą być uważane jako środek agitacyjny, podniecający do walki w chęci pociągnięcia do niej czerni. Takimi środkami posługiwał się, jak wiadomo, Chmielnicki, bądź w swoich uniwersałach, bądź posyłając w różne strony swoich poddymaczy.

W celu objęcia całości twórczości ludowej, która, jak się zdaje, zamknęła się z końcem XVIII w. należy jeszcze słówko powiedzieć o okresie późniejszym. Wspomniałem o tem, że większość dum, odnoszących się do czasów Chmielnickiego, wydaje się być utworem jednego człowieka. Nikt w spadku po nim nie otrzymał zamilkłej bandury. Po śmierci Chmielnickiego Ruś przeżywała cięższe czasy niż za Bohdana: walki o hetmaństwo Wyhowskiego z Juryszką, walki jego z Moskwą, potem hetmaństwo Juryszki, kampanję Cudnowską, hetmaństwo Tetery, Hanenki, Doroszenki, — szczególnie czasy Doroszenki Piotra, zwane przez lud Ruiną i walki z Turcją, Moskwą i Rządem polską były dla Rusi strasznymi klęskami. Lud ruski stał się istotnie męczennikiem — z łaski własnych hetmanów kozackich, którzy nim handlo.

wali, sprzedając na przemiany Turcji lub Moskwie, „zhony” — przepędzanie ludności z prawego brzegu Dniepru na lewy, uciskały tę ludność nie mniej od tatarskiego jassynu, lub szabli tureckiej, — a jednak nie znalazł się żaden piewca tych krwawych i strasznych czasów. Zdawało się, że T. Szewczenko miał słusznosc, kiedy, opisawszy dzikie orgie hajdamactwa, powiedział:

Ne czut' placzu, ni harmaty,
Tytki witer wije,
Nahynaje werby w hai
A tyrsze na poli.
Wse zamowkło — nehaj mowczyt'
Taka boża wola.

Przez 125 lat prawie nie hymnem zwycięstwa, ale tylko jakimś jękiem odzywała się muza ludu ruckiego. Jęk ten wybuchał płaczem i skargą po zdobyciu Siczy (1775) i rozproszeniu Zaporozców. Jedni popłynęli do Turcji i osiedli nad Dunajem, drugich zabrała Moskwa do wojska, częśćkę rozsiedliła na dawnych ziemiach „Wolności Zaporoskich“, a resztę nad Kubań wysłała. Już Piotr W. rozpoczął niszczenie Kozaczyny, używając kozaków do różnych robót — bądź do budowania fortów na pograniczu z Turcją, bądź do kopania kanałów i budowania Petersburga. Oderwanie się od rodziny i kraju znalazło echo w poezji ludowej, ale były to już tylko skargi i żale bezsilnego kozactwa.

Równie jak wzrost twórczości ludowej był nagły, a świetnie zabłysnął w poezji dum kozackich, tak nagły prawie był upadek. Po Chmielnickim nie zdobyła się muza ludowa na żaden lot wysoki. Idea Bohdana malała i zatracała się w walkach pozbawionych celów narodowych, aczkolwiek w tych celach mówiono. Zatargi Wyhowskiego z synem Bohdanowym Juryszką, z Puzkarem, z Teterem, walki Doroszenka z Brzochowickim, Samojułowicza z Doroszenkiem, Hanenka z Doroszenkiem i wogóle starszyzny kozackiej między sobą, — wszystko to miało charakter walk ambitników między sobą o władzę hetmańską. Zbyt osobiste cele tych walk nie mogły obudzić drzemającego ducha poezji. Twórczość ludowa żyła reminiscencjami przeszłości. Przyszedł wreszcie rok 1709 — pierwszego rozbicia Siczy przez Piotra W. Idea państwowości nie powstała wówczas jeszcze w głowach zaporoskich, ale zrozumiano, że utracono wolność, prawo rozporządzania się sobą — i od tej doby upadku Kozaczyny na prawej stronie Dniepru rozpoczynają się skargi i żale na Moskwę. Na lewej stronie Dniepru wypadki te nie wywoływały żadnego wstrząśnienia. Niesforny i niespokojny duch kozacki nie umiał znaleźć wyjścia, chociaż jako jedyne nastroczało się samo przez się: był to powrót do Polski.

W r. 1709 było to jeszcze możliwe. Tymczasem część uszła z Mazepą i Orlikiem i przyłączyła się do tragedii Karola XII, a reszta uderzyła w pokorę. Rok 1775 przekonał Zaporozców, że pokora nie była dobrym środkiem ratunku dla niewolników. Niedobitki bawili się zwykłym rozbojem, kryjąc się po lasach. Nastrój poetycki opadł do poziomu życia.

U sławnij Siczi, u Czuti,
Tam kozaki prożywały
I z polskoi oblasti
Wony sobi dobycz mały.
A derly wony paniu,
Derly wony Lachiw,
A de żyd bohatyj
Da i toho ne mynały.

Na Dobrudży, nad Dunajem, za zezwoleniem Turcji osiedli niewielkimi kolonjami nad Górnym i Dolnym Dunawcem i tam potworzyli kolonie rybaczkie, kłócąc się ze sobą i wynaradawiając się powoli. Część Zaporozców, wysiedlona jeszcze za czasów Katarzyny II nad Kubań stała się zarodkiem t. zw. kozaków kubańskich, którzy z powodu swojej dzikości znani byli dobrze na całej Polsce.

Z upadkiem swoim Kozaczyna przestała być czynnikiem twórczym w poezji ludowej, która wogóle zatraciła swój pierwotny charakter. Współczesne życie już tylko odbiło się, jak w zwierciadle wypukłym, skrzywionymi obrazami, w kilku piosnkach z okresu t. zw. pańszczyzny i pracy w fabrykach cukru, wkraczając niekiedy w dziedzinę zbójckiego bohaterstwa — jak pieśń o Karmeluku. Wogóle źródło poezji ludowej na Rusi, można powiedzieć, w obecnej chwili, jak i wszędzie u ludu, wyschło zupełnie. Życie kulturalne przeprowadza swoją bezwzględną niwelację.

(C. D. N.)



MISCELLANEA

GUILLAUME APOLLINAIRE

1881—1919.

Jeden z najwybitniejszych twórców nowoczesnych, poeta, przywódca francuskich ekspresjonistów zmarł w Paryżu przed niewielu dniami, w kwiecie bujnej swej twórczości, dorzuciwszy światu dźbło wieczności, a braciom z ducha w wszystkich krajach dodawczy mocy wielkiej w walce o wspólne wierzenia. Także „Zdrój” zapoznał czytelników swoich z jednym z utworów Apollinaire'a, drukując jego „Rotsoge”, wiersz poświęcony Chagall'owi.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu Z. M. w P. Krytyka nasza, dzisiejszych działań politycznych naszych dzielnicowych leaderów, nie powinna ranić pańskich uczuć partyjnych. Istotnie — przyznając stronnictwu N. D. wiele zasług około sprawy narodowej położonych w przeszłości — potępiamy stanowczo działanie obecne, zwłaszcza gdy chodzi o cele i metody polityki wewnętrznej, jako że z pojęciem demokracji nie mające nic wspólnego. Wszak krytyka nasza nie kieruje się głównie przeciwko stronnictwu, jako takiemu. Wiadomo, że pod miano narodowej demokracji podezywają się jednostki ambitne, którym z wypieczonych i opasłych fizjonomii wyziera niedwuznacznie nie miłość kraju, ale miłość dostojeństwa własnego. Stronnictwo N. D. wie dobrze, iż nie wysunąłszy tych jednostek na czoło działań społecznych, naraziłoby się na twardą walkę z niemi, przyjąwszy ich zaś — oficjalnie czy nie oficjalnie — do grona ludzi „swoich”, znalazło w nich swoich przyjaciół i orędowników. Jeżeli tedy już w latach przedwojennych można było stronnictwu zarzucić bardzo wiele, to dzisiaj słuszność zarzutów potęguje się niebywale, gdyż przez braterstwo broni z partyjnymi przybyszami, wycisnęło na sobie stronnictwo piętno skrajnego jęzuityzmu, bezwzględności i mściwości. Gdyby wpływy tego kierunku politycznego zabarwione metodami innych partyjnych przybyszów opanować miały na dłuższą polskę w pokroju dzisiejszych stosunków w dzielnicy wielkopolskiej, mielibyśmy rządy inkwizycyjne, nieco zmodyfikowane.

Ci właśnie przybyśle partyjni sprawili, iż stronnictwo N. D. opanowały społeczeństwo wielkopolskie, dowolnie pokierowało biegiem polityki dzielnicowej, krystalizującym się w krzyżącym separatyzmie poznańskim. Wiemy, iż w stronnictwie N. D. zawiadują ludzie, którym pod kątem widzenia spraw narodowych żadnych zarzutów czynić nie można. Ale też ci ludzie usunęli są mniej więcej na plan drugi; dla nich nie stało miejsca, które zajęli przybyśle; oni też dziwnie biernie zachowują się nawet do tych postanowień, które sami zasadniczo potępiają. Tak tedy istotnie polskie żywiły w stronnictwie N. D. pozbawione są jakiegokolwiek wpływu, który przypadł w udziale albo nic nie znaczącym i nic nie umiemyć albo znanym ze swej skóry kameleona politykom naszym.

Wierzmy, iż stronnictwo uprawiało politykę ogólną polską miast polityki dzielnicowej, okraszanej narodowymi frazesami, gdyby w Polsce ono wraz z swoimi przyjaciółmi zakordonowymi rzadziło; ponieważ tworzy ono słabą grupę pravicową, przeto skupia swe siły w dzielnicy, w której ma głos decydujący.

Stąd pochodzi poznański separatyzm, który zaznaczył się nieszczęśliwie tak wyraźnie, że przejdzie niewątpliwie do historii naszego Narodu. Zgubne działanie onych przybyszów zapisane będzie w przyszłości — słusznie czy niesłusznie — na rachunek decydującej u nas partii N. D.

Pan L. Ch. w P. W sprawie urządzonego przez „wielkopolską szkołę malarstwa” wieczoru pantomimowego z zaproszeniem nań przedstawicieli młodych koalicyjnych najzupełniej podzielamy pańskie zdanie krytyczne. Redakcja „Zdroju” w kwestii tej stanowiska żadnego nie zajęła, ponieważ na tego rodzaju widowiska swego sprawozdawcy nie wysyła. Jeżeli zaś pisma codzienne skarżą się, że wieczór ów mógł tylko kompromitować poznańską kulturę w oczach przedstawicieli państw zachodnich, to zważyć powinny, iż one przedewszystkiem pielegnowały przez lata całe wszelką tandetę literacką i artystyczną, jako że ta przystępniejsza jest i bardziej użyteczna celom codziennym, aniżeli istotna twórczość.

Czyż zdziwić się można takiemu rzeczy stanowi, jeżeli w dzielnicy naszej zawsze tropiono i tępięto wszelkie objawy twórcze jako zło, czyniące zamach na moralność, zdrowie i rozsądek niepokalanego społeczeństwa, a w to miejsce pielegnowano muzę podkasaną i artystyczną tandetę?

Sądymy, że te właśnie gazety najmniej mają prawo krytyki, zwłaszcza, że miałyby spewności, gdyby ludzie świata politycznego z zagranicy nie wchodził w rachubę. A przecież ludzie ci zagraniczni potrzebowaliby tylko przeczytać feljetony różnych naszych kurjerów, a spewnością ujemniejszy stworzyliby sobie sąd o kulturze wielkopolskiej, niż przyjrzałszy się wspomnianie pantomimie.

Dzień 19 marca 1918 r. był dniem, w którym popłynęły całe powodzie telegramów i listów do Magdeburga, gdzie brygadjer Józef Piłsudski z poza kraty pruskiego więzienia poglądał ku Polsce, która była w przededniu odrodzenia. Bohaterowi swemu stał Naród wyraził holdu w dniu imienia jego.

Dzień 19 marca 1919 r. był dniem narodowego święta. Dnia tego hold Narodu stał się już u stóp Naczelnika. Wszystkie Naród z wszystkich polskiej ziemi dał wyraz gorącej miłości i czci wielkiej dla Józefa Piłsudskiego, który za przyczyną krzyżowej drogi swego życia skupił istotę polskości w swej osobie i dzisiaj — nie tylko z urzędu, ale przedewszystkiem z ducha Narodowi przewodzi, Narodu jest mocą i pewnością świetlanego Jutra.

Wszystka ziemia polska jednym drgnęła uczuciem w dzień św. Józefa, jako że to dzień św. Naczelnika — jedna tylko polać ziemi polskiej zimna była i głucha dnia onego, kiedy wszystko uczucie polskie zestrzeliło się w jednym człowieku — milczała Wielkopolska, pełna uwielbienia dla siebie, że nie stało już uczucia dla Naczelnika.

O POMNIKI W POZNANIU.

Zrozumiała jest w pewnej mierze żądza burzenia niemieckich pomników w Poznaniu — żądza ujawniająca się u szerokiej mas naszych, iżto pomniki te uraganem były wszystkimu, co drogę jest polskiej istocie. Uczucie odwetu pobudzało niecierpliwość tychże mas i domagało się pospiesznego budowania polskich pomników w miejsce dotychczasowych. To wszystko zrozumiałe jest w chwili obecnej u szerokiej, kulturalnie mało wyrobionej masy, jednakże nie byłoby zrozumiałe, gdyby pojawiło się na łamach poważnej prasy codziennej gdziekolwiek —

prósz w Poznaniu. W gazetach naszych pojawił się szereg artykułów, w których autorzy prześcigali się w pomysłach — może narodowych, ale nie kulturalnych. A przecież o nie innego tu nie chodzi jak o narodową kulturę!

Dopiero p. K. Ulatowski skierował dyskusję na właściwe tory wskazując słusznie, iż w kwestji pomników rozstrzygać winni wyłącznie artyści. Bo też zadziwiające jest, że w sprawach jakiegokolwiek znawstwa udziela się głos wyłącznie znawcom, ale gdy chodzi o sprawy artystyczne, wtedy każdy czuje się powołany do rozstrzygnięcia — a już w pierwszej mierze ten, kto o sztuce niema zgoła żadnego wyobrażenia. Objaw ten świadczy znów o minimalnych wymaganiach kulturalnych naszych kół inteligencjnych.

Na tle pomników poznańskich i projektowanych instytucji artystycznych powstało już wiele projektów. O jednych mówi się głośno, inne są jeszcze tajemnicą. Wszystkie mają jedno

wspólne znamię dyletantyzmu. Dlatego ci nieliczni, którym kultura narodowa leży na sercu, z troską spoglądają na te plany układane i roztrząsane przez ludzi niepowołanych a mające być ostatecznie przyjęte przez gospodarzy miasta, równie dalekich od spraw sztuki jako oni projektodawcy.

Naszem zdaniem kwestję pomników rozstrzygnąć ma prawo wyłącznie utworzyć się mająca rada artystów i to w razie potrzeby z powołaniem do pomocy i porady odpowiednich, najtęższych sił z Warszawy czy Krakowa. Zwłaszcza wobec braku u nas wybitnych, o szerokim gieście twórczym architektów, współpraca kolegów z polskich centr kulturalnych jest konieczna. Poznań, jego kultura, a więc także jego pomniki, są własnością całego Narodu, dlatego domagać się będziemy w chwili decydującej, aby sprawa pomników poznańskich nie na krótkim toporzyku i nie przez przygodnych drwali została rozstrzygnięta.



„Zdroju” tom szósty zamykamy zeszytem niniejszym.

Równocześnie dzielimy się z naszymi czytelnikami skargą na wytworzone — da Bóg, nie na długo — warunki uniemożliwiające prowadzenie pisma o wymogach „Zdroju” tak, jakbyśmy tego pragnęli. Zwracamy uwagę na to, że dzięki rządowi obecnym w Poznaniu odcięci jesteśmy od ziem polskich, tak, iż porozumienie się z autorami albo jest niemożliwe, albo dokonać się może tylko drogą obchodzenia przelicznych, stawianych nam utrudnień. Nie mniej cierpi pismo nasze z powodu niemożności przesyłania gotowych egzemplarzy przez „granicę polską”. Wszelako wierzymy, iż w niedługim czasie ukrócona będzie wszechwładza dzielnicowa na korzyść prawowitej władzy państwa naszego. Skoro tedy pokonałszy przeliczne trudności wytworzone przez wojnę i wojenne prawo pruskie, zdołamy niewątpliwie przebrnąć przez zapory stawiane nam obecnie w dwójnasób; prosimy tylko czytelników naszych o uwzględnienie położenia aż do czasu połączenia się ziemi wielkopolskiej z Macierzą.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji w Warszawie:

Jan Śliwiński, ulica Flory 9. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszystkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań.

Odbito w tłoczni „Pracy” w Poznaniu.

SPIS RZECZY.

TOM VI.

ANTONIEWICZ TADEUSZ	
U podstaw kultury polskiej	61
ASBEIN	
Z Golgoty serca i ducha	145
BERWIŃSKI WINCENTY	
<i>Don Juan Poznański</i> — Pieśń I i II	89
<i>Parabaza</i>	97
Dwa fragmenty z „Wystawy obrazów w Poznaniu“	101
<i>Ubogim w duchu, Myśli szalonego</i>	102
BEZRUC PETR (spolszczył Olwid)	
<i>Góry</i>	29
FINKENSTEIN KURT (spolszczył Olwid)	
<i>Wieczór w ruderze</i>	18
GATHMANN HANS (spolszczył Olwid)	
<i>Noc wianek nosi</i>	18
HERTZÓWNA AMALJA	
Wielki król	22
HULEWICZ JERZY	
Gieść wyższości	20
Duch wieczny rewolucjonista	58
Na marginesie Zdroju	105, 137
Ostatni dźwięk	135
Drzeworyty oryginalne	1, 29, 57, 58, 60, 61, 65, 74, 144
IIŁAKOWICZÓWNA I. K.	
<i>Niewolnica</i>	75
IWASZKIEWICZ JAROSŁAW	
Demeter	107
KLESZCZYŃSKI ZDZISŁAW	
<i>Obywatele</i>	113
KUBICKA MAŁGORZATA	
Okładka do tomu VI	
Drzeworyty oryginalne	16, 87, 110, 112, 123
KUBICKI STANISŁAW	
Tamtych coś nie coś	34
<i>Rozterka</i>	37
Fragment stenogramu życia	42
<i>Zwątpienie</i>	44
Panującym	46
Budowa wieży	49
Rysunki	36, 43, 45
Drzeworyty oryginalne	33, 41, 47, 52, 111
LEA	
„Wesele“ Wyspiańskiego w teatrze poznańskim	30
LICHTENSTEIN ALFRED (spolszczył Olwid)	
<i>Wieczorny wędrowiec</i>	17
MAITRIYA ANANDA (spolszczyła W. H.)	
Cztery prawdy dostojne	115
MIŁOSZ OSKAR (spolszczyła Br. Ostrowska)	
Wybór poezji	141

MISCELLANEA	30, 53, 88, 136, 165
NADELMANN ELI	
Rysunki	120, 121
NEU-BUDDHISTISCHE ZEITSCHRIFT	
Nieco o gazetach i czytaniu gazet	136
Samo-uzdrowienie (spolszczyła W. H.)	149
PICASSO PABLO	
Rysunek	28
RAWITA-GAWROŃSKI FRANCISZEK	
Literatura ruska do końca XVIII wieku	85, 129, 154
RILLE WALTER (spolszczył Olwid)	
<i>Melancholja</i>	17
RUBINER LUDWIK (spolszczył St. Kubicki)	
Walka z aniołem	38
SCHMACK ANTONI (spolszczył Olwid)	
<i>Żal</i>	17
SKOTAREK WŁADYSŁAW	
Drzeworyt oryginalny	128
SŁOWACKI JULJUSZ	
Z „O potrzebie idei“	60
SZMAJ STEFAN	
Drzeworyty oryginalne	32, 78, 131
TAGORE RABINDRANATH (spolszczyła Laura Konopnicka-Pytlńska)	
Chitra	9
VILLIERS DE L'ISLE ADAM (spolszczył Asbein)	
Wera	81
WERFEL ERANCISZEK (spolszczył St. Kubicki)	
<i>Pieśń pijacka</i>	48
WOJNAROWSKA ZOFJA	
<i>Pacta poetica</i>	147
WRONIECKI JAN JERZY	
Drzeworyty oryginalne	5, 19, 135, 140, 159
WROTNY	
<i>Apage Satanas</i>	6
ZABOJECKA MARJA	
<i>Gwiazdy spadają</i>	124
ZEGADŁOWICZ EMIL	
Z „Legendsy ziemi“	2
Z RZECZY POKREWNYCH	51



Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**



nabyć można za pośrednictwem naszym



REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wolności 17

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach w okupacji **niemieckiej.**

(Skrytka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. **w okupacji niemieckiej**, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. w okupacji austriackiej.

„SPRAWA POLSKA”

Tygodnik polityczny
:-: i społeczny :-:

Cena zeszytu **60 fen.**

Prenumerata kwartalna **6 mk.**

ADRES REDAKCJI i ADMINI-
STRACJI: ulica Szkolna 3., I. p.

MASKI

Czasopismo ilustrowane, poświęcone
literaturze, sztuce i satyrze :-: :-: :-:

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: **KRAKÓW, Wojska 1 19**
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 30 kor. — rocznie 75 kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek”
objęła Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KAŁAMAJSKI, Plac Wolności nr. 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Haiki	Koźnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole

☛ ☛ TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI. ☛ ☛

3

Wielkie Sale Wystawowe

znajdują się teraz

przy ul. Berlińskiej 10 wysoki parter

Antykwariat - Stała wystawa obrazów.

K ANDRZEJEWSKI, POZNAŃ, ul. Berlińska 10 w. p.

„OSTOJA“ Spółka Wydawnicza

Tel. 5100 w Poznaniu, pl. Wolności 17. Tel. 5100.

Opuścili prasę najnowsze wydawnictwa nasze:

T. KONCZYŃSKI: Blaski miłości — powieść mk. 7,50

M. SCHEFFS: Ziemstwa Kredytowe i Kredyt Rolniczy w Dzielnicy Pruskiej mk. 9,—

CZ. ANDRZEJEWSKI: Żywiol niemiecki w Zachodniej Polsce mk. 3,60

I. W. KOSMOWSKA: Libelt jako działacz polityczny i społeczny mk. 2,70

ZAKŁAD OŚWIETLANIA

LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. Berlińska 18 (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 3133.

Nadzwyczajny wybór
wykwintnych przedmiotów do oświetlania
elektrycznego, gazowego i okowicianego
w wytwornem i skromnem wykonaniu.

Aparaty do gotowania i ogrzewania

Bracia Kiwi

Tel. 2947 Poznań, ul. Wiktorji 9 Tel. 2947

Cieszący się najlepszą renomą
magazyn stylowych wielkopańskich
urządzeń mieszkalnych.

☛ ☛ Najwyższa sprawność. ☛ ☛

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktorji 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

